

ŚWIATOWE ŻYCIE®



Caitlin Crews
Lekcja miłości

Caitlin Crews

Lekcja miłości

Tłumaczenie: Filip Bobociński

HarperCollins Polska sp. z o.o.
Warszawa 2021

Tytuł oryginału: *Untamed Billionaire's Innocent Bride*

Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Limited, 2019

Redaktor serii: Marzena Cieśla

Opracowanie redakcyjne: Marzena Cieśla

© 2019 by Caitlin Crews

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2021

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części dzieła w
jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo
do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie
przypadkowe.

Harlequin i Harlequin Światowe Życie są zastrzeżonymi znakami
należącymi do Harlequin Enterprises Limited i zostały użyte na jego
licencji.

HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do
HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane
bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-672 Warszawa
ul. Domaniewska 34A
www.harpercollins.pl

ISBN 978-83-276-5588-2

Konwersja do formatu EPUB, MOBI: Katarzyna Rek / [Woblink](#)

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Lauren Isadora Clarke była rodowitą mieszkanką Londynu.

Nie obchodziła jej zielona brytyjska prowincja. Żywopłoty wzdłuż dróg stanowiły dla niej co najwyżej irytującą przeszkodę w dotarciu do celu. Zdecydowanie wolała miejski krajobraz, z pełną paletą zawsze dostępnych środków transportu. Lauren ceniła punktualność. Do tego dobrze żyło jej się bez niewygodnego obuwia o podeszwach przypominających bieżnik opony samochodowej.

Nie była typem wędrowca, włóczykija czy jak tam siebie zwali ci wiecznie zziajani, ubrani w wełnę i ciężkie buty ludzie. Nie widziała nic atrakcyjnego w mozolnym wspinaniu się na wzniesienia tylko po to, by się z nich potem zsunąć, umorusawszy się wcześniej błotem. Wielokilometrowe marsze pod pretekstem poddychania świeżym powietrzem nie trafiały do niej.

Lauren lubiła beton, cegły, londyńskie metro i knajpy z jedzeniem na wynos na każdym rogu. Reagowała alergicznie nawet na samą wzmiankę o „głębokim, ciemnym lesie”.

A jednak maszerowała teraz czymś, co lokalny oberżysta łaskawie nazwał drogą – była to co najwyżej wydeptana ścieżka – biegnącą przez sam środek gęstego, węgierskiego lasu.

Przynajmniej jeszcze nie odezwało się jej uczulenie. Była jednak zbyt skupiona na narzekaniu na swoją obecną sytuację, by to docenić.

Przede wszystkim, nie miała odpowiedniego obuwia – nie tylko obecnie, ale w ogóle w szafce. Nie wierzyła w ten cały kult odpowiedniego obuwia. Jej życie było wybitnie odpowiednie. Pilnowała porządku w swoich finansach, płaciła rachunki na czas, poświęciła życie sprawowaniu obowiązków osobistej asystentki bardzo bogatego i potężnego prezesa Combe Industries. Niezachwianie osiągała najlepsze rezultaty. Lubiała myśleć, że jest niezastąpiona.

Jej buty były niepraktycznymi, ozdobnymi elementami kreacji, które miały przypominać jej o tym, że jest kobietą. Przydawało się to, gdy szef traktował ją jak natrętny element wyposażenia biura, funkcjonujący samoczynnie, najlepiej bez jakiegokolwiek pomocy lub nadzoru.

– Moja matka oddała dziecko do adopcji, zanim poślubiła ojca – zwierzył się kilka tygodni temu jej szef, Matteo Combe, swym jak zwykle poważnym głosem.

Lauren, jak każdy, kto znalazł się w pobliżu stoiska z tabloidami, czekając w kolejce do kasy, wiedziała wszystko o rodzicach jej szefa. Wiedziała nawet więcej niż inni – w końcu przez większość swej kariery pracowała dla Mattea. Piękna i uwielbiana Alexandrina San Giacomo, folgująca swym zachciankom arystokratka, wbrew rozsądkowi i swemu weneckiemu dziedzictwu wyszła za bogatego, acz zdecydowanie nieokrzesanego Eddie’ego Combe’a, którego przodkowie wyrąbali sobie drogę ucieczki z fabryk północnej Anglii – często własnymi pięściami.

Historia miłosna tej dwójki wywołała lawinę skandali, a ich burzliwe małżeństwo prowadziło do licznych spekulacji prasowych. Zmarli oboje na przestrzeni kilku tygodni, co spowodowało jeszcze większe poruszenie.

Nie było jednak słowa o nieślubnym synu.

Lauren nie trzeba było tłumaczyć, że gdy ta informacja wycieknie – a tego typu rzeczy ostatecznie zawsze wychodzą na światło dzienne –

rozlegnie się wściekłe ujadanie watahy pismaków.

– Chcę, byś go znalazła – powiedział jej Matteo tonem, jakby prosił o podanie mu kawy. – Nie chcę sobie nawet wyobrażać, w jakiej znalazł się sytuacji, ale potrzebuję go tu, przygotowanego na atak mediów i, jeśli to możliwe, uległego.

– Twój od dawna zaginiony brat, którego nigdy nie widziałeś. Możliwe, że bezwarunkowo gardzi tobą, twoją matką i wszystkim związanym z San Giacomo. Naprawdę sądzisz, że ktoś taki będzie uległy wobec twojej woli?

– Wierzę w twoje zdolności – odparł Matteo.

Lauren niemal natychmiast usprawiedliwiła w duchu ten obłąd, ponieważ jej szef miał potwornie trudny okres. Jego rodzice zmarli jedno po drugim. Z kolei jego siostra narkomanka zaszła w ciążę, przez co Matteo zdzielił pięścią ojca jej dziecka. Zdaniem Laury taka reakcja była najbardziej zrozumiała. Niestety, Matteo uderzył go na pogrzebie ojca.

Cios, jaki wymierzył księciu Aresowi z Atilii, był filmowany i fotografowany nie tylko przez paparazzi, ale i przez część żałobników. Rada dyrektorów firmy wykorzystała okazję, by obrócić się przeciwko niemu. Matteo został przez nich zmuszony do poddania się terapii radzenia sobie z gniewem i było całkiem możliwe, że radzie uda się go usunąć ze stanowiska, jeśli raport psychoterapeuty nie będzie zbyt pochlebny.

Oczywiście, Lauren go usprawiedliwiała.

– Czy kiedykolwiek nie usprawiedliwiałaś jego zachowań? – rzuciła znad ekranu telefonu jej współlokatorka, Mary, gdy Lauren w pośpiechu szykowała się do opuszczenia Londynu.

– To ważny i bardzo zajęty człowiek, Mary.

– A ty zawsze znajdziesz okazję, by nam o tym przypomnieć.

Jedynym powodem, dla którego tolerowała te pyskówki – powiedziała sobie w duchu Lauren, pokonując kolejny odcinek ścieżki na krańcu

świata – był fakt, że trudno znaleźć dobrych współlokatorów. Mary zaś miała obsesję na punkcie utrzymywania kontaktu z trzydziestoma tysiącami znajomych rozsianych po całym świecie, przez co większość czasu spędzała zamknięta w swoim pokoju, pogrążona w mediach społecznościowych, Lauren zaś miała resztę mieszkania dla siebie. Czasami nawet miała czas się nim nacieszyć.

Zresztą, ma trochę racji – usłyszała cichy głosik w swojej głowie.

Jednak Lauren przybyła tu, by wypełniać polecenia Mattea, a nie kwestionować swoją lojalność wobec niego.

Dziś jej para typowych, zdobionych świekami i falowanym materiałem szpilek uczyniła nieplanowaną wyprawę przełajową poprzez węgierskie lasy. Było to bardziej nieprzyjemne, niż sobie wyobrażała, a Lauren miała bogatą wyobraźnię.

Spojrzała ze złością na swe stopy, zacisnęła mocniej dookoła siebie czerwony płaszcz, pomyślała kilka nieuprzejmych rzeczy o swoim szefie, których nigdy nie powiedziałyby na głos, po czym ruszyła dalej ścieżką.

Nie było jej łatwo wytropić właściwego Dominika Jamesa.

Nie posiadała żadnych informacji oprócz kilku szczegółów zapisanych przez matkę Mattea w testamencie. Lauren zaczęła poszukiwania u prawnika, który sporządził ostatnią wolę i testament Alexandriny. Był to przebiegły starzec, bardziej przyzwyczajony do załatwiania spraw arystokratów niż bycia wypytywanym przez ich pracowników. Posłał jej przenikliwe spojrzenie znad okularów, których, jak sądziła, wcale nie potrzebował, i zapewnił, że gdyby był w posiadaniu jakichś dodatkowych, związanych ze sprawą informacji, niewątpliwie by je zawarł w dokumentacji.

Lauren jakoś w to wątpiła.

Podczas gdy Matteo przebywał na sesjach terapii radzenia sobie z gniewem, a przyszłość Combe Industries wisiała na włosku, Lauren rzuciła się w wir poszukiwań. Fakty były niepokojąco proste. Alexandrina, dziedziczka olbrzymiej fortuny San Giacomo, znana na całym świecie nieszczęśliwa bogata dziewczynka, zaszła w ciążę w wieku piętnastu lat ze zdecydowanie nieodpowiednim, starszym od niej chłopcem. Rodzina odkryła prawdę, gdy dziewczyna nie była w stanie już dłużej ukrywać swojego stanu, i przeniosła ją z jednej szkoły przyklasztornej do drugiej, zdecydowanie bardziej drakońskiej.

Dziecko urodziło się latem, gdy Alexandrina miała szesnaście lat. Po cichu usunięta ze szkoły przez Kościół, jesienią wróciła do życia salonowego, jakby się nic nie wydarzyło. O ile Lauren było wiadomo, Alexandrina nie wspomniała o swoim pierwszym synu aż do zostawienia mu spadku w testamencie.

„Memu pierworodnemu synowi, Dominikowi Jamesowi, odebranemu mi, gdy sama byłam zaledwie dzieckiem, zapisuję trzecią część majątku i dóbr doczesnych”.

Nazwisko było wskazówką. James, jak się okazało, to zangielszczona wersja Giacomina. Lauren wyśledziła wszystkich Dominików Jamesów w stosownym wieku, jakich udało jej się znaleźć. W końcu zawęziła poszukiwania do dwóch. Pierwszego skreśliła po tym, jak odkryła jego wyraźnie niepasujący kod DNA na jednej ze stron do śledzenia przodków. Został więc ten drugi.

Pozostały Dominik James wychowywał się w kilku włoskich sierocińcach, zanim uciekł do Hiszpanii. Tam spędził wiek dojrzewania, podróżując od wioski do wioski w sposób, który Lauren mogła opisać wyłącznie jako włóczęgostwo. Wstąpił do włoskiej armii, gdy skończył

dwadzieścia lat, po odbyciu służby znowu zniknął. Niedawno się pojawił, by zacząć studia, ale niedługo potem znów zniknął z życia publicznego.

Trochę jej to zajęło, ale poszukiwania doprowadziły ją do tego gęstego, odosobnionego kawałka węgierskiej puszczy. Po wszystkim Matteo poinformował ją, że Węgry były jedynym słowem notatki, jaką znalazł na papierowej wersji testamentu na biurku ojca.

– Właśnie to napisał ojciec na jego kopii testamentu matki – powiedział rozbawiony.

Rozbawiony, zupełnie jakby nie przyszło mu do głowy, że wiedza, że właściwy Dominik James znajduje się na Węgrzech, przydałaby jej się wcześniej.

Oczywiście, tego nie powiedziała. Podziękowała mu.

Ojciec Mattea mógł robić notatki na testamencie Alexandriny, ale niewątpliwie nie zamierzał znaleźć dziecka, które jego zmarła żona oddała na długo, zanim się poznali.

Oznaczało to, że nie tylko Lauren będzie musiała odbyć podróż, by znaleźć Dominika, ale również przekazać mu informacje o jego matce. Tutaj, pośród otaczającego ją lasu, tajemniczego i imponującego, należącego raczej do świata baśni niż rzeczywistości.

Jak to dobrze, że Lauren nie wierzyła w bajki.

Poprawiła płaszcz raz jeszcze, by uchronić się przed chłodem.

Panowała wiosna, choć tu, w lesie, nie sposób było się o tym przekonać. Wysokie i grube drzewa całkiem blokowały światło słoneczne. Cienie gęstniały, pełznąc po powierzchniach i wypełniając jej serce niepokojem.

A może to nie cienie rzucane przez gałęzie sprawiały, że czuła się tak, a nie inaczej, pomyślała cierpko, gdy próbowała jednocześnie nie zwichnąć kostki i nie połamać obcasów, ale sam fakt, że tu się w ogóle znalazła. Albo

przez to, że gdy powiedziała oberżyscie w izolowanym górskim miasteczku, że poszukuje Dominika Jamesa, ten ją wyśmiał.

– Powodzenia zatem. Będzie ci potrzebne – rzucił nieszczerze pomocny człowiek. – Niektórzy mężczyźni nie chcą zostać odszukani, paniusiu, a nic dobrego nie przyniesie ignorowanie ich decyzji.

Teraz, gdy stała pośrodku lasu sama, jednocześnie odczuwając czyjąś ukrytą obecność, tamta uwaga wybrzmiała dużo bardziej złowieszczo.

Szła dalej. Granicę wsi minęła ponad trzydzieści minut temu i był to ostatni ślad cywilizacji, na jaki natrafiła. Próbowła wmówić sobie, że ma szczęście, że ścieżka nie biegła ku zboczom napawających lękiem gór, ale trudno jej było myśleć w kategoriach szczęścia, gdy dokoła niej tylko błoto. I gęsty las. Oraz ptaki, wywołujące zamieszanie w koronach drzew, gdzieś nad jej głową. Do tego dochodziły dźwięki trzaskających gałęzi, które utwierdzały ją w przekonaniu, że fakt, że nie widzi żadnych dużych leśnych zwierząt, nie znaczy, że się tu nie czają.

Obserwują ją. Czekają.

Lauren zadrżała. Po chwili jednak powiedziała sobie, że zachowuje się kretyńsko. Obeszła dookoła nierówność terenu i wtedy ją zobaczyła.

Z początku nie była pewna, czy to nie miraż, jakaś leśna wersja fatamorgany. Gdy się jednak zbliżyła, upewniła się, że to nie iluzja. Przed nią stała rustykalna budowla, skryta na polanie w cieniu drzew.

Lauren zbliżała się, stawiając powolne, ostrożne kroki po ścieżce prowadzącej do skraju polany. Przez całą drogę marzyła o uwolnieniu się od otaczającego ją lasu, ale gdy znalazła polanę, odkryła, że budzi to w niej niepokój.

Lauren nie wierzyła w złe przeczucia, stłumiła więc niepokój i, zmarszczywszy brwi, przyjrzała się budowli. Była to schludna, drewniana chatka z dopasowanych, zazębających się konarów. Z komina unosił się

dym. Nie było absolutnie żadnego powodu, by zatwardziała mieszkanka wielkiego miasta jak Lauren na ten widok czuła dziwne ukłucie w sercu. Zupełnie jakby przez całe życie wałęsała się, zagubiona tak w leśnej, jak i w betonowej puszczy, nieświadomie poszukując przytulnego, małego domku, dokładnie takiego, jak ten tutaj.

Oczywiście, było to nedorzeczne. Nigdy nie wierzyła w bajki, ale je czytała. I nie przypominała sobie, by z którejkolwiek z nich coś dobrego wyniknęło z natrafienia na pozornie idealny domek pośrodku niebezpiecznego lasu. Zwykle kończyło się to kłutwą, konfrontacją z wiedźmą lub obnażającym kły wilkiem...

Nagle zauważyła, że ganek z przodu werandy nie jest pusty, jak się jej na pierwszy rzut oka wydawało. Był tam ukryty w cieniu mężczyzna.

I patrzył prosto na nią.

Jej serce wykonało zaskakującą i gwałtowną akrobację. Miała wrażenie, że gdyby się nie opanowała, natychmiast upadłaby na ziemię, tu, na granicy polany i lasu.

Nie zamierzała się jednak kulić, niezależnie od tego, kto się na nią gapił, skryty w mroku.

– Pan Dominik James? – zawołała dziarsko. Postarała się, by jej głos brzmiał dźwięcznie i wyraźnie, tak by nie zdradzał choćby śladu zdenerwowania.

Choć stała wyprostowana, nie mogła nie zwrócić uwagi, że jej nogi zdecydowanie nie podzielały jej pewności siebie i szukały jedynie pretekstu, by się pod nią ugiąć. Nie pomagało też łomoczące boleśnie serce.

Mężczyzna poruszył się. Opuścił zacieniony ganek i wyszedł na promienie słońca wypełniające polanę – świetlistą wysepkę pośrodku czarnego jak atrament mroku lasu.

Łomot jej serca przyspieszył jeszcze bardziej.

Był wysoki, o wiele za wysoki, z szerokimi barkami, na widok których spociły jej się dłonie. Zapragnęła... rzeczy, których nie pozwoliła sobie wyobrazić.

Włosy miał ciemne, gęste i rozpuszczone, zbyt długie jak na jej gust, jednak podkreślały silnie zarysowaną szczękę. Usta miał płaskie i pozbawione uśmiechu, lecz wystarczająco kształtne, by poczuła na ich widok ucisk w brzuchu. Miał na sobie proste ubranie, koszulę z długim rękawem mocno opiętą na twardej powierzchni jego torsu, ciemne spodnie, przykuwające jej uwagę do potężnie zbudowanych ud, oraz buty wybrane ze względu na ich walory użytkowe, nie estetyczne.

Jednak to jego oczy poruszyły Lauren do głębi. A może po prostu doznała nagłego olśnienia?

Oczy miał bowiem szare, niczym chmury burzowe. Zupełnie jak Matteo.

Barwa San Giacomo, pomyślała Lauren. Taką właśnie miały znane na całym świecie, piękne oczy Alexandriny.

Nie musiał się przedstawiać. Nie miała wątpliwości, że stoi przed nią zaginiony dziedzic fortuny. Nie mogła tylko zrozumieć, dlaczego wszystkie włoski na karku stanęły jej dęba.

Zmusiła się do kontynuowania wypowiedzi.

– Nazywam się Lauren Clarke – poinformowała. Upomniała się w duchu, że przecież miała zachowywać jak profesjonalistka, a nie ulegać targającym nią dziwnym doznaniom. – Pracuję dla Mattea Combe’a, prezesa i przewodniczącego rady dyrektorów Combe Industries. Jeśli nie słyszał pan wcześniej o panu Combe, to spieszę pana poinformować, że jest on synem zmarłej Alexandriny San Giacomo Combe. Mam powody przypuszczać, że pani Alexandrina była również pańską matką.

Ćwiczyła tę wypowiedź wcześniej. Wielokrotnie ustawiała słowa w swojej głowie, a tego ranka nawet wygłosiła cały monolog przed lustrem w małym pokoiku w obergerzy. Nie widziała powodu, by owijać w bawełnę. Najlepiej zerwać plaster jednym szybkim pociągnięciem i jak najszybciej przejść do sedna sprawy.

Spodziewała się różnych reakcji. Mógł wszystkiemu zaprzeczyć. Mógł zacząć na nią krzyczeć lub kazać jej odejść. Przygotowała plany rezerwowe na każdy możliwy scenariusz...

Lecz stojący przed nią mężczyzna nie odezwał się ani słowem.

Ruszył ku niej. Zauważyła, że porusza się ze zwinnością, której nie spodziewałaby się po tak potężnej sylwetce. Była w nim jakaś śmiertelnie niebezpieczna gracia. Lauren odruchowo wstrzymała oddech.

Gdy się zbliżył, mogła zobaczyć wyraźnie wyraz jego twarzy, jego oczu. Uderzyło ją, że znalazła w nich coś na kształt pełnego pogardy rozbawienia. Na coś takiego nie była przygotowana.

– W zostawionym przez panią Combe testamencie zamieszczone są dotyczące pana zapisy – zmusiła się, by kontynuować. – Mój pracodawca zamierza uszanować ostatnią wolę swojej matki, panie James. Przysłał mnie tutaj w celu rozpoczęcia związanych z tym procedur.

Mężczyzna nadal milczał. Gdy znalazł się już twarzą w twarz z Lauren, zwolnił krok, ale nic nie mówił, jedynie bacznie się jej przyglądał. Jego spojrzenie wędrowało po niej w sposób, który odbierała jako niedopuszczalne naruszenie jej intymności. Czuła, jak w odpowiedzi zalewa się rumieńcem.

Zupełnie, jakby przesuwiał dłońmi po całym jej ciele. Jakby próbował gładkości włosów spiętych nisko w kucyk. Albo jakby sprawdzał grubość tkaniny czerwonego, zawijanego płaszcza, chroniącego ją przed rzeźkim powietrzem węgierskich puszczy. Wyimaginowane dłonie zsuwały się po

jej nogach aż do ślicznych, niepraktycznych bucików, po czym wspinały się z powrotem do góry.

– Pan Combe jest człowiekiem bogatym i wpływowym. – Trudno jej było zachować rzeczowy i władczy ton, gdy ten mężczyzna był tak... blisko. Patrzył na nią jak na posiłek, nie jak na posłańca. – Wspominam o tym nie po to, by sugerować, że nie chce on wypełnić swych zobowiązań wobec pana. Wręcz przeciwnie. Jednak jego pozycja wymaga, byśmy załatwili sprawę z jak największą delikatnością. Mam nadzieję, że pan rozumie.

Nagle dotarło do niej mnóstwo bodźców. Uderzyły jednocześnie. Mężczyzna – Dominik, powiedziała sobie w duchu, bo to musiał przecież być on – niedawno brał prysznic. Widziała ślady wilgoci na jego długich włosach. Do tego czuła jego zapach: kombinację aromatu mydła z wonią ciepłego, czystego i zdecydowanie zdrowego mężczyzny.

Wszystko to wywołało u niej zawroty głowy, a serce tłukło jej się w piersi jak bęben.

Las zastygł dookoła nich w oczekiwaniu. Oczywiście, nie ucichł całkowicie, ale brakowało jej w nim uspokajających odgłosów miejskiego życia. Odwróciłyby jej uwagę od ciekawskiego, przeszywającego, jednolicie szarego spojrzenia.

Jej nerwy były bliskie zwarcia.

– Przepraszam – rzekła, jako alternatywę mając jedynie paniczną ucieczkę. – Czy mówi pan po angielsku?

Lekko ugiął kącik ust na poważnej twarzy. Z niezrozumiałych dla siebie powodów zastygła bez ruchu Lauren patrzyła, jak sięga ku niej, pokonując ostatnie dzielące ich kilkadziesiąt centymetrów.

Spodziewała się, że dotknie jej twarzy albo pogłodzi ją po włosach. Nie zrobił żadnej z tych rzeczy. Poczowała pierwotne, dotkliwie głębokie uczucie

rozczarowania, gdy zamiast tego chwycił palcami rąbek jej płaszcza.

Zupełnie, jakby sprawdzał jakość wełny.

– Co pan robi? – zapytała. Wszelkie nadzieje na zachowanie profesjonalnej pozy prysły. Kolana haniebnie jej miękły w bezprzykładnym akcie zdrady. Nie poznawała głosu, jaki z siebie wydała: przerywany gwałtownym, płytkim oddechem był zawstydzająco bezdźwięczny.

Był bliżej, niż powinien. Była pewna, że sama nie jest w stanie się wycofać. Przyglądając jej się, przechylił głowę w sposób, który sprawił, że zadrżała.

Zaraz potem całkowicie znieruchomiała.

– Piękna blondynka weszła do lasu, ubrana jedynie w jaskrawoczerwony płaszczyk. – Czuła, jakby rzucił na nią urok. Ponownie przyszły jej na myśl znane baśnie. Głos miał głęboki, bogaty w barwy, naznaczony lekkim akcentem. – Myślałaś, że jak się ta historia zakończy?

I wtedy nachylił się ku niej i ją pocałował.

ROZDZIAŁ DRUGI

Całował ją.

Na miłość boską, całował ją!

Było to niepojęte dla niej doznanie, nieprzypominające żadnego pocałunku, jakiego dotąd doświadczyła lub o jakim fantazjowała.

Lizał jej wargi, uwodząc i kusząc, zachęcając, by je rozwarła.

Oczywiście, nie miała najmniejszego zamiaru tego uczynić.

A jednak to uczyniła. Z głębi gardła wyrwało jej się krótkie, wprawiające w drżenie westchnienie.

Wreszcie wodzący na pokuszenie język wsunął się w jej usta. Świat zawirował.

Może to zasługa kąta nachylenia twarzy, może bogatego, dzikiego smaku. Było to niesamowite mistrzostwo całowania, powolne, głębokie, zmienne.

Gdy odsunął twarz, jego kącik ust nadal był wygięty w zdawkowym uśmiechu.

Lauren była roztrzęsiona. Powtarzała sobie, że to z powodu oburzenia.

– Nie możesz... po prostu nie możesz, ot tak całować ludzi!

Jego uśmieszek stał się bardziej wyraźny.

– Będę o tym pamiętał, gdy następnym razem baśniowe stworzenie wyłoni się z lasu.

Wytrącił ją z równowagi. Miała niebywale gorące policzki, od których ciepło promieniowało i rozchodziło się po całym ciele.

Poniżył ją. Dotkliwie.

– Nie jestem żadnym baśniowym stworzeniem! – wyrzuciła z siebie i w tym samym momencie pożałowała tego. Dlaczego brała udział w tej dziwacznej farsie?! Nie była jednak w stanie się powstrzymać. – Baśnie są zmyślane i nie chcę mieć z nimi nic do czynienia!

– Wielka szkoda. Czymże są baśnie, jeśli nie zapisem ludzkich namiętności, fantazji, także tych mrocznych?

Poczuła nagły ucisk w gardle. Przełknęła z trudem.

– Zapewne życie zawodowe niektórych ludzi, lub też jego brak, pozwalają im spędzać czas na rozważaniach nad ukrytą naturą historyjek dla dzieci – odpowiedziała wyraźnie zbyt namiętnym tonem. Cały czas na ustach czuła piętno jego warg. – Obawiam się, że zawodowo zajmuję się bardziej dojrzałymi sprawami.

– Bo przecież nie ma nic bardziej dojrzałego niż wykonywanie cudzych poleceń.

Po raz pierwszy w życiu czuła się skołowana. Zdawało jej się, że ma opuchnięte usta, ale nie chciała ich dotknąć, by to sprawdzić. Okazałaby mu w ten sposób swoją słabość, a to było nie do pomyślenia.

Oburzał ją sam fakt, że miała jakąkolwiek słabość.

– Nie każdy może żyć w leśnej chatce, dorabiając w pokątny sposób – odparła, być może zbyt cierpko.

Jeśli się spodziewała, że spojrzy na nią wilkiem, to się rozczarowała. Jedyne, co zrobił, to odwzajemnił jej spojrzenie, z tym samym pogardliwym uśmieszkiem. W oczach miał srebrzysty błysk.

– Właściciel gospody, w której się zatrzymałaś, powiedział mi, że przyjdiesz.

Cofnął się lekko. Nie mogła oderwać od niego wzroku i śledziła każdy jego ruch. Było w nim coś nietypowego. W tym, jak się poruszał. Sprawiał, że miała ochotę zbliżyć się do niego, sięgnąć ku niemu rękami i...

Ale oczywiście tego nie zrobiła. Skrzyżowała ramiona na piersi, by stawić mu odpór i wziąć się w garść jednocześnie. Posłała mu najbardziej wściekłe spojrzenie, jakie tylko była w stanie wykrzesać.

– Mogłaś darować sobie ten spacer – kontynuował. – Nie chcę nic od twojego bogatego szefa. I owszem – wiem, kim on jest. Możesz spać spokojnie. On mnie nie interesuje. Ani jego matka. Ani jakiegokolwiek „zapisy” w testamentach nadmiernie bogatych ludzi, których z dużym prawdopodobieństwem nienawidziłbym, gdybym ich znał osobiście.

Poczuła dotkliwe rozczarowanie, choć nie powinna poczuć niczego. To nie była dla niej sprawa osobista. Pracowała dla rodzin Combe i San Giacomo, nic więcej.

Jednak fakt, że człowiek ten nie chciał własnego dziedzictwa, ubódł ją. Usta cały czas ją mrowiły. Były niemal jak poparzone, cały czas pamiętały dotyk i smak jego warg. Śmiały i bezwstydnym. Bezwzględnie męski.

– Mój bogaty szef jest twoim bratem – wytknęła głosem bardziej ostrym, niż powinna. – Tu nie chodzi o pieniądze, tylko o rodzinę.

– Niezwykle bogatą rodzinę – przytaknął. Jego wzrok już nie błyszczał jak srebro. Był raczej jak stal. – Rodzinę, która mnie nie chciała.

Serce jej podskoczyło, gdy dłonią dotknął jej podbródka. Powinna go była spoliczkować. Niewątpliwie miała taki zamiar.

Świat wokół niej stał się powolny i ślamazarny, jak mucha w smole. Jedyne, co czuła, to pewność jego uchwytu, tak kontrastująca z jej drżeniem.

– Kontempluję twój smak – wymamrotał do niej wygiętymi w sardonicznym uśmiechu, bezlitosnymi ustami. Nie mogła już tego znieść,

ale równocześnie, nie mogła się od niego odsunąć. – Nie miałem pojęcia, że tak kapitalnie wyglądająca blondynka będzie taka słodka w smaku – dodał.

Zaraz po tym odwrócił się i ruszył z powrotem do swej chaty, zanim jego słowa przebiły się do niej przez całe to jej roztrzęsienie.

Lauren myślała, że znienawidzi się do końca świata za wilgoć, którą poczuła w oczach. Od kiedy pamiętała, nigdy nie pozwalała sobie na płacz.

– Pozwól, że się upewnię, czy dobrze zrozumiałam – rzuciła za nim. – Oberżysta zadzwonił do ciebie i uprzedził o moim przybyciu. Czy powiedział ci także, jak byłam ubrana, żebyś mógł sobie przygotować tę całą historyjkę o Czerwonym Kapturku?

– Strój pasuje – rzucił przez ramię.

– To chyba obsadza cię w roli Złego Wilka, czyż nie?

Impulsywnie podążyła za nim, co nie mogło być w żadnym wypadku dobrym pomysłem. Nie mogła sobie pozwolić na głębszą refleksję nad tym, co robi. Nawiedzały ją myśli o pocałunku, który wstrząsnął nią do głębi.

– W lasach Europy czai się wiele rodzajów wilków. – Głos miał bardziej mroczny niż dotychczas. Obrócił się i skierował na nią swe szarookie, przeszywające spojrzenie. Patrzenie wprost w jego oczy było jak konfrontacja z nadciągającą burzą. – „Zły” to równie dobre określenie, jak każde inne.

Zauważyła, że nie odpowiedział na jej pytanie.

– Dlaczego?

Lauren zatrzymała się kilkadziesiąt centymetrów przed nim. Oparła ręce na biodrach i pozwoliła, by poły płaszcza się rozchyliły. Nienawidziła tej części siebie, która zareagowała podekscytowaniem na jego wzrok wbity w delikatny złoty łańcuszek na jej szyi. I jedwabną bluzkę poniżej.

Czuła ciężar swych piersi i wyraźną reakcję sutków na zimno. Nie na niego.

Latami chodziła w olśniewających szpilkach, by przypominały jej, że jest przecież kobietą. Desperacko każdego dnia marzyła, że Matteo wreszcie to w niej zauważy. Nie zauważył. Nigdy.

Stojący przed nią człowiek zaś sprawił, że poczuła się niesamowicie kobieca. I nawet się nie starał.

Wmawiała sobie, że czuje wyłącznie nieopanowane oburzenie, ale sama w to nie wierzyła.

– Dlaczego cię pocałowałem? – Błysnął zębami. – Ponieważ miałem na to ochotę, Czerwony Kapturku. Jaki inny powód mógłbym mieć?

– Może zrobiłeś to, bo jesteś zwykłą świnią – odparła chłodno. – Dość powszechna dolegliwość wśród mężczyzn pozbawionych poczucia kontroli nad własnym życiem.

Na twarzy Dominika pojawił się wyraz mrocznego rozbawienia.

– Sądzę, że pomyliłaś bajki. Skoro ja jestem świnką w chatce, to może to ty jesteś wilkiem? Zamierzasz chuchać i dmuchać, czy po prostu masz na mnie chrapkę?

Cała poczerwieniała.

– Zabawne. Nie dziwi mnie, że odludkowi żyjącemu w szalasie nawet bajki dla dzieci kojarzą się z seksem. Nie przyszedł tu jednak dla pańskiej rozrywki, panie James.

– Mów mi Dominik. – Uśmiechnął się do niej, ale nie wzięła tego za uprzejmość. Nie, gdy uśmiech przypomina klingę: ostrą i zabójczą.

– Jestem pod wrażeniem szopki, którą przede mną odegrałeś. Pokazałeś mi, gdzie moje miejsce, dziękuję bardzo. Uwierz, naprawdę chciałabym obrócić się na pięcie i biegiem wrócić do pracodawcy z opowieściami o półdzikim pustelniku, którego w żadnym wypadku nie powinien uznać za zaginionego brata. Niestety nie mogę.

– Dlaczego?

– Ponieważ nieważne, czemu kryjesz się w lesie: obojętne, czy jesteś pustelnikiem, dzikusem czy chamem niezdolnym do integracji ze społeczeństwem – wyliczała, akcentując kolejne słowa zamaszystymi ruchami dłoni. – Jeżeli ja byłam w stanie cię wytropić, inni również to zrobią i nie będą równie uprzejmi. Zjawią się reporterzy. Paparazzi. A gdy raz się pojawią, nie przestaną cię nachodzić. Otoczą tę chatkę i zamienią twoje życie w piekło. Zawsze tak robią. To tylko kwestia czasu – dodała z promiennym uśmiechem.

– Całe dzieciństwo spędziłem w oczekiwaniu na ludzi, którzy po mnie przyjdą – powiedział łagodnym głosem po chwili milczenia. – Nikt nigdy się nie zjawiał. Wybacz, ale nie bardzo jestem w stanie uwierzyć, bym teraz mógł się znaleźć w centrum czyjegoś zainteresowania.

– W dzieciństwie byłeś zaledwie bękartem, pomyłką młodości – wycedziła lodowatym głosem, by ukryć dziwne pragnienie cofnięcia czasu i uratowania małego chłopca przed smutnym losem. – To słowa ojca Alexandriny San Giacomo, nie moje – dodała pośpiesznie, gdy poczuła na sobie ciężar stalowego spojrzenia. – Teraz jesteś dziedzicem San Giacomo. Jest pan bardzo bogatym człowiekiem, panie James. Do tego jesteś częścią znamienitego rodu o wielowiekowych korzeniach.

– Nie mogłaś się bardziej pomylić – odparł tym samym, łagodnym głosem. Lauren nie wzięła tego za oznakę słabości. Widziała bowiem wyraz jego twarzy: bezlitosny i niebezpieczny. – Jestem sierotą. Byłem żołnierzem. Człowiekiem, który woli własne towarzystwo. Na twoim miejscu popędziłbym z powrotem do twojego pana, jak na dobrze wytresowanego pieska przystało, i mu to powtórzył. – W oczach miał niebezpieczny błysk. – Znikaj stąd, zanim zapomnę, jak smakowałaś i zechcę znów popofolgować swoim zachciankom.

– Obawiam się, że nie mogę tego zrobić.

– Nie masz wyjścia, Czerwony Kapturku. Znasz już moją odpowiedź.

Lauren czuła, że był pewny swej decyzji. Naprawdę zamierzał wrócić do swojej idiotycznej chatki, odrzucając przy tym swoje dziedzictwo i wszystko, co z nim było związane. Poczuła nagły przypływ zupełnie nowego uczucia. I nie świadczyło ono o niej zbyt dobrze.

Ona sama bowiem nigdy nie odrzuciłaby fortuny San Giacomo. O ileż lepiej byłoby odkryć, że jest zaginioną dziedziczką niż wieść swe nudne życie. Jej matka i ojciec rozstali się, ponownie wzięli śluby i założyli nowe rodziny, które wyraźnie woleli od niej. Podrzucali ją sobie jak gorący kartofel, poświęcali jej tak mało czasu, jak tylko mogli. W końcu osiągnęła pełnoletniość i powiedziała im, że odchodzi. Najsmutniejsze było to, że Lauren liczyła, że choć jedno z nich zaprotestuje. Nikogo to jednak nie obeszło.

– Większość ludzi byłaby uradowana na wiadomość o spadku – powiedziała w sposób niezdradzający własnych uczuć. – To trochę jak wygrana na loterii. Żyłeś sobie swoimi codziennymi sprawami, aż tu nagle odkryłeś, że jesteś zupełnie innym człowiekiem, niż ci się zdawało.

– Znam siebie. Ciężko pracowałem, by stać się tym, kim jestem, i nie zamierzam tego porzucić z powodu wyrzutów sumienia nadzianej denatki.

– Ale...

– Znam San Giacomo – uciął Domink. – Jakże mógłbym o nich nie słyszeć? Dorastałem w ich cieniu we Włoszech i nie chcę mieć z nimi nic wspólnego. Możesz to powtórzyć szefowi.

– Przyśle mnie tu z powrotem. Jeśli zaś ciągle będziesz mnie wypraszał, przybędzie tu osobiście. Tego właśnie chcesz? Powiedzieć mu prosto w twarz w jak małym poważaniu masz dar, który ci ofiarowuje?

Przyjrzał jej się badawczo.

– Zatem to dar? A podobno to należne mi z urodzenia dziedzictwo.

– To nieistotne. Tak długo, jak długo będziesz siedział zamknięty w leśnej chatce i udawał, że nic się nie wydarzyło.

Zaśmiał się. Nie był to wybuch radości, raczej szybki uśmiech i westchnienie. Miała ochotę dowiedzieć się, jak brzmi jego prawdziwy śmiech.

Dobry Boże, co się z nią działo?

– Nie pojmuję twojej determinacji – odparł. – Wiem, że mnie poszukiwałaś. Zajęło ci to kilka tygodni, ale wreszcie wpadłaś na mój trop. Jeśli w którymkolwiek momencie dotarło do ciebie, że nie życzę sobie być odnaleziony, to nie powstrzymało cię to ani na chwilę. A teraz przychodzisz tutaj bez zaproszenia.

– Jestem bardzo dobra w swojej pracy. – Uniosła dumnie głowę. – Wręcz znakomita. Gdy dostaję zadanie, zawsze je wykonuję.

– Szef mówi: skacz, a ty celujesz w księżyc – odparł łagodnie. W jego głosie wyczuła obelgę. Znów się zaczerwieniła, kompletnie nie rozumiejąc, dlaczego.

– Jestem osobistą asystentką, panie James. Pomagam mojemu pracodawcy we wszystkim, czego sobie życzy. To natura mojego zawodu, nie wada charakteru.

– Pozwól, że opowiem, co wiem o twoim pracodawcy – powiedział powoli, zupełnie jakby go to bawiło. – To chodząca kompromitacja, czyż nie? Jest tak zakochany w swojej rodzinie, że nie spocznie, dopóki nie uczyni mnie jej częścią. Pobił kochankę siostry na pogrzebie własnego ojca. Rycersko!

Lauren odetchnęła głęboko. Starła się zrozumieć, co naprawdę dzieje się we wnętrzu tego człowieka. Jego uraza do ludzi, którzy umieścili go w sierocińcu, była zrozumiała. Sądziła, że nie tyle oburza go to, co Matteo mu oferuje, ile fakt, że ta oferta została w ogóle złożona. O wiele lat za

późno. Rozumiała to. Wiele razy wyobrażała sobie własnych rodziców błagających o chwilę jej uwagi, by mogła triumfalnie odrzucić ich starania.

Musiała założyć, że jego odrzucenie kontaktów z San Giacomo wynikało ze zranionych uczuć. Znała jednak mężczyzn i wiedziała, że nieważne, jak potężni, bogaci czy niezniszczalni byli, wszyscy reagowali na zranione uczucia tak, jakby sam fakt odczuwania ich był aktem agresji. Wszyscy w otoczeniu zaś byli dla nich współwinnymi.

– Szanuję twoje stanowisko, Dominiku – odparła koncyliacyjnie. – Naprawdę. Nadal jednak chcę cię pojednać z twoją rodziną. Co muszę zrobić, by do tego doprowadzić?

– Najpierw wchodzisz do ciemnego lasu w czerwonym płaszczu. Potem pozwalasz, by Zły Wilk sprawdził, jak smakujesz. Teraz zaś otwarcie składasz mi niemoralną propozycję? Jakie masz wielkie oczy, Czerwony Kapturku.

Zadrżała, choć przecież nie miała ku temu powodu. To przecież były tylko jego gierki.

Z drugiej strony, otaczał ich las. Chłodna bryza przebiegała między konarami, a wioska i jej mieszkańcy byli daleko.

Do tego już ją przecież pocałował.

Co naprawdę mogę mu zaoferować? – spytała sama siebie.

Nie miała żadnej odpowiedzi.

Patrzyła na niego i czuła się jak zupełnie inna osoba. Zupełnie, jakby jej ciało należało do kogoś innego: całe było roztrzęsione i nerwowe. Nie podobało jej się to. On jej się nie podobał, powtarzała sobie w duchu.

Nie odeszła jednak.

– Musi być coś, co przekona cię do powrotu do Londynu i zajęcia swego prawowitego miejsca w rodzinie San Giacomo – powiedziała,

starając się nadać głosowi racjonalny ton. – Nie chodzi o pieniądze, bo rzuciłbyś się na wieść o dostępie do fortuny.

Wzruszył ramionami.

– Nie skusisz mnie bogactwem i władzą.

– Oczywiście, ponieważ od pieniędzy wolisz manipulację. Wciągasz ludzi w socjotechniczne gierki, takie jak ta. Udajesz, że nie interesuje cię władza, ale tak naprawdę bawisz się ludźmi i wykorzystujesz tak zdobytą władzę nad nimi, by robić na opak wszystko, o co cię proszą.

Nagle spanikowała. Może nie powinna była tego mówić? Zmarszczył brwi i spojrzał na nią tak, że aż się zatrzęsła.

Spodziewała się krzyku lub innej gwałtownej reakcji. Zamiast tego przyglądał jej się przez chwilę, po czym powoli rozszerzył usta w szerokim uśmiechu.

– Czerwony Kapturku – zaczął niskim głosem. – Proszę, wejdź do środka. Ogrzej się przy moim piecu. Zapraszam. Przekonaj mnie, jeśli dasz radę.

ROZDZIAŁ TRZECI

Dominik James całe swoje życie spędził, szukając własnego miejsca na świecie.

Powiedziano mu, że jego rodzice nie żyją. Wierzył, że jest sierotą. Przynajmniej na początku. To wyjaśniało jego ówczesną sytuację, a jako dziecko lubił tłumaczenia nadające sens pobytowi w sierocińcu, który był jego domem.

Gdy miał dziesięć lat, najwredniejsza z zakonnic zdradziła mu zupełnie inną prawdę o nim samym, gdy nakryła go na jakimś występku.

„Twoja matka cię nie chciała – powiedziała mu. – I kto mógłby ją winić za to, że nie chciała takiego brudnego, paskudnego bachora? Kto mógłby cię chcieć?”

No właśnie, kto? Dominik następne dziesięć lat spędził na dostarczaniu wszystkim dowodów, że jego matka, kimkolwiek była, popełniła słuszną decyzję. Spodziewano się po nim najgorszego, a on nie zawodził oczekiwań. Uciekł z sierocińca i trafił do Hiszpanii, gdzie włóczył się i kradł, by przeżyć.

Uważał, że to szczęśliwe życie, w porównaniu do reżimu zakonnic, pełnego kar cielesnych i fałszywej pobożności.

Ostatecznie powrócił do Włoch i wstąpił do armii. Kierowała nim bardziej chęć ukarania samego siebie niż nagły przypływ patriotyzmu. Liczył, że zostanie wysłany na jakąś straszną wojnę, gdzie umrze na służbie dla ojczyzny, zamiast zdechnąć w pogoni za swymi nihilistycznymi

żądzeniami. Niewątpliwie nie spodziewał się zdobyć w wojsku dyscypliny, szacunku i miejsca w świecie, a także narzędzi, dzięki którym stał się człowiekiem zasługującym na ową pozycję.

Służył krajowi do trzydziestego roku życia. Po odejściu ze służby kilka lat spędził na robieniu dla sektora prywatnego tego, czego nauczyła go armia. Nie mógł jednak usiedzieć w miejscu. Sprzedał założoną przez siebie firmę za małą fortunę.

Jako decydujący o sobie, dorosły człowiek samodoskonalił się. Skończył studia, by poszerzyć horyzonty, ale także po to, by móc zarządzać swą nowo zdobytą fortuną tak, jak chciał.

Nie potrzebował pieniędzy utraconej rodziny. Miał własne. Założona mimochodem firma specjalizująca się w cyberbezpieczeństwie uczyniła z niego bogacza, a jej sprzedaż zrobiła zeń miliardera. Na tej bazie budował dalej swój majątek, rozszerzając swe finansowe wpływy jak tylko chciał.

Tak się składało, że lubił udawać odludka z węgierskich lasów. Mógł sobie na to pozwolić. Poza tym lubił utrzymywać mur drzew między sobą a światem, który zawsze był wobec niego bezlitośnie obojętny. Świat napelniał go gniewem, nawet gdy leżał u jego stóp.

Wolał spokój puszczy. Komfort zapewniany przez wyłącznie własne towarzystwo.

Piękne blondynki o karmelowych oczach i niesamowicie słodkich ustach budziły w nim zachłanną żądzę. Przypominały mu dawną wersję siebie, do której nie chciał wracać.

Powinien ją natychmiast odprawić.

Zamiast tego zaprosił ją do środka.

Szła przed nim, w tych swoich absurdalnych butach głośno stukających o deski werandy. Momentalnie pożałował, że puścił ją przodem, gdyż choć jej płaszcz, tak jaskrawoczerwony, że z pewnością założyła go, by z niego

zadrwić, ukrywał jej ponętne szczupłe ciało, to nie maskował ruchu bioder, rytmicznego jak metronom.

Gdy dotarli do wykonanych przez niego osobiście ciężkich, drewnianych drzwi z okuciami, wyprzedził ją i wyciągniętą dłonią otworzył przed nią wejście do domu.

To jednak był błąd.

Bowiem już jej posmakował, a nachylenie się nad nią ponownie wywołało żądzę. Zapragnął złożyć pocałunek na jej karku. Chciał poczuć w dłoniach pełne piersi, które dojrzał pod jej bluzką. Chciał zanurkować twarzą między jej udami i do reszty zatracić się w słodczy i ciepłe.

Zamiast tego, po prostu otworzył przed nią drzwi. Jak ktoś zwykły, ułożony. Cywilizowany.

Obserwował, jak wchodziła do środka, cała sztywna, zupełnie jakby coś się miało na nią zaraz rzucić. Jednak ta chata została zaprojektowana zgodnie ze szczegółowymi wytycznymi Dominika. Miała być przytulna.

Było to schronienie, jakiego nigdy nie miał jako dziecko. Nie wiedział, dlaczego ją tu wpuścił. Przed nią nikt inny nie przekroczył tego progu.

– Jestem w szoku – przerwała wreszcie długą ciszę. Wzrokiem wędrowała od puszystych dywaników na podłodze do obitych skórą foteli przy palenisku. – Szczerze mówiąc, spodziewałam się raczej rudery.

– Rudery?

– Nie chciałam cię urazić – odparła, jak sądził, nieszczerze. Znów machała ręką w sposób, który określiłby jako lekceważący.

– Nikt nie spodziewa się po długowłosym pustelniku życia w luksusie.

– Zaczynam żałować swojej gościnności – mruknął.

Rozejrzał się po wnętrzu domku i próbował spojrzeć na niego oczami kogoś takiego jak Lauren. Znał ten typ ludzi i starał się ich unikać: wielkomiejski blichtr Londynu przemieszany z zarożumiałością. Zdradzały

ją buty: drogie i niepraktyczne, miały być oznaką statusu, wzbudzać zazdrość i zainteresowanie.

Zastanawiał się, co o niej świadczy fakt, że jej głównym środkiem wyrażania samej siebie jest para butów.

Rozmyślał również, co sobie myślała o nim na podstawie wnętrza jego domu. Znał jedynie własne założenia stojące za projektem budynku. Wysoki sufit, gdyż miał dość zginania karku i dopasowywania się do miejsc nieprzeznaczonych dla niego. Puszyste, ciepłe dywaniki, bo zdążył w życiu zaznać chłodu i niewygody. Przestrzeń rozplanowana tak, by wewnątrz zdawało się dwukrotnie większe niż w rzeczywistości. Spędził dość czasu w ciasnych ruderach i nie miał ochoty do nich wracać. Główne pomieszczenie zawierało kamienny kominek z jednej strony i ergonomicznie zaplanowaną kuchnię z drugiej. Miał też zdolną go pomieścić sypialnię z łóżem tak dużym, że bez problemu wyspałoby się na nim dwóch mężczyzn jego rozmiarów.

– Całkiem tu ładnie – powiedziała po chwili z nutą zaskoczenia w głosie. – Bardzo... wygodne wnętrze, choć ma męski wystrój.

Dominik skinął głową w kierunku jednego z foteli przy trzaskającym ogniu w palenisku. Nie wiedział, po co mu były dwa fotele – wszak nie przyjmował gości. Chyba dlatego, że w jego wyobrażeniach wygodnego domku zawsze były dwa duże skórzane fotele.

Gdy Lauren spoczęła na jednym z nich, ogarnęły dziwne doznanie. Coś jak poczucie, że fotel cały czas czekał właśnie na nią.

Szybko odegnał tę myśl.

Opadł na fotel naprzeciwko niej i wyciągnął nogi, zajmując większość dzielącej ich przestrzeni.

– Sądziłem, że zamierzasz mnie do czegoś przekonywać – rzucił po chwili, gdy atmosfera zgęstniała. – Może tam, skąd pochodzisz, ludzie

zachowują się inaczej, ale ja nie zacząłbym perswazji od obrażania osoby, którą zamierzam przekonać.

Zamrugła zaskoczona, zupełnie jakby zapomniała, po co się tu znalazła. Zdjęła wreszcie płaszcz, po czym złożyła dłonie na kolanach. Dominik przebiegł po niej głodnym wzrokiem, zupełnie jakby nigdy wcześniej nie widział kobiety.

Była słodka i krągła, a jej włosy lśniły złotem w świetle tańczącego ognia. Związała je w wąski kucyk, spoczywający na jej ramieniu. Prawdziwy złoty łańcuszek lśnił na jej gardle, dokładnie w miejscu, które z chęcią skubałby zębami, ostrożnie i delikatnie, aż wprowadziłby ją w drzenie. Jej piersi błagały o męski dotyk. Był tak blisko, wystarczyłoby, by się nachylił.

Dominik jednak rozparł się w swoim fotelu, oparł brodę na pięści i ignorował chciwe żądania swej wyobraźni.

– Bardzo bym chciała cię przekonać. Spodziewałam się, że przyjdę tu i znajdę cię koczującego w barłogu. Niewątpliwie jednak cenisz sobie wygodę, a to mi podpowiada, że choć lubisz samotność, to nie ukrywasz się całkiem przed światem. Cóż zatem przekonałoby cię do wyjścia do niego?

– Powinnaś mnie najpierw przekonać, dlaczego miałbym tego chcieć.

– Mógłbyś stylowo wyposażyć ten domek. Unowocześnić go. Doprowadzić media.

– Nie twierdziłem, że żyję tu bez prądu. Nie wiem, czemu zdajesz się sądzić, że moja chatka tkwi w erze kamienia łupanego. Zapewniam cię, mam dostęp do wszystkich zdobyczy techniki, jakich potrzebuję.

– Mógłbyś kupić sobie, cokolwiek zapragniesz.

– Wszystko, co masz mi do zaoferowania, to pieniądze – odparł pospiesznie. – Już ci mówiłem, mam własne. Ale fakt, że się na nich skupiasz sporo mi mówi o tobie. Czy ten mój brat marnie ci płaci?

Zesztywniała.

– Pan Combe był zawsze dla mnie hojny.

Zaczerwieniła się. Interesujące...

– Ile wynosi stawka za lojalność, która pcha kobietę w szpilkach do pierwotnej puszczy?

Zadarła nosek.

– Moje wynagrodzenie to nie twoja sprawa.

– Sprawiałś, że wszystko, co ciebie dotyczy, stało się moją sprawą, gdy przekroczyłaś próg mojego domu. – Palce aż mu się rwały, by dotknąć jej ciała. – Dlaczego mi nie powiesz, po co naprawdę tutaj przysłaś?

Spąsowiała jeszcze bardziej, a zmarszczki między jej brwiami pogłębiły się.

– Przecież powiedziałam, panie James.

– Jestem pewien, że w wiosce poinformowali cię, że przybywam tam co najmniej raz na tydzień uzupełnić zapasy. Mogłaś tam poczekać na mnie w wygodzie. Nie było powodu wędrować po lesie, szczególnie w takich butach.

Wydawała się nagle bardzo zadowolona, zupełnie jakby wpadł w jakąś pułapkę.

– Proszę się nie kłopotać moimi butami – rzekła, po czym założyła nogę na nogę, ściągając jego spojrzenie. – Uważam je za całkiem wygodne.

– Z pewnością nie są odpowiednie do wędrowki po lesie.

Jej spojrzenie miało kolor słodkiego, lepkiego deseru. Szczególnie mu się podobało, gdy zerkła mu w oczy wzrokiem pełnym przeświadczenia o własnej wyższości.

Nie miała pojęcia, jak go to bawi.

I podnieca.

– Z doświadczenia wiem, że gdy rozmówca porusza temat moich butów, to głównie w rozpaczliwej próbie zdezwuowania tego, co mam do powiedzenia – oznajmiła. – Chciałeś się skupić na butach i wyciągnąć daleko idące wnioski na temat mojej osoby? Oto mój sekret: lubię śliczne buty.

Dominik wyszczerzył zęby.

– Spieszę zapewnić, że choć marzę o tym, by zdezwuować to, co masz do powiedzenia, to póki co nie mówisz zbyt wiele. – Wytrzymał jej gniewne spojrzenie. – Mów więc. Wytlumacz, czemu miałbym porzucić wygody własnego domu i zbratać się z rodziną, która ignorowała moje istnienie. Zakładam, że byłoby im to na rękę, ale sama rozumiesz, że ten argument do mnie nie przemawia.

– Powtórzę: paparazzi...

Pokręcił przecząco głową.

– Oboje wiemy, że to nie ja ucierpiałbym najbardziej, gdyby dziennikarze mnie tutaj znaleźli. Umiem sobie radzić z nachodzącymi mnie natrętami. – Z satysfakcją zobaczył, jak dziewczyna zaciska usta. Wyszczrzył się jeszcze bardziej. – Z kolei twój bogaty szef nie życzyłby sobie publicznego prania brudów swojej szlachetnej rodziny. Po to właśnie było twoje śledztwo, zakończone podróżą do Węgier: miałaś mnie przekonać, że jego nagła troska o moją prywatność jest szczerą oznaką nagle odkrytej braterskiej miłości, a nie dbaniem o własny interes?

– Pan Combe do niedawna nie wiedział, że ma brata – odparła ostrożnie. – Jeśli mam cię przekonać o szczerości jego intencji, to wiedz, że rozpoczął poszukiwania ciebie zaraz po tym, jak odkrył, że istniejesz.

– Muszę zapamiętać, by mu zgotować owację na stojąco.

– Pan Combe...

– Czerwony Kapturku, błagam. Co ty sobie pomyślałaś, gdy prosiłem, żebyś mnie przekonała? Całowaliśmy się. Naprawdę sądzisz, że zaprosiłem cię tutaj, bo chciałem wysłuchać przemówienia?

Nie wiedział, jakiej reakcji oczekiwał. Może uzasadnionego oburzenia, zerwania się z miejsca i trzaśnięcia drzwiami? Opuściłaby jego dom i jego życie. Tego właśnie chciał, zapewniał się w duchu.

Była intruzem. Zaprosił ją po to, by się upewnić, że tu nie wróci.

Ależ oczywiście, powiedział sardoniczny głosik w jego głowie.

Lauren nie wybiegła jednak. Patrzyła na niego z osłupiałą miną. Zupełnie jakby nie była obrażona tą sugestią. Sprawiała raczej wrażenie... jakby coś takiego przydarzyło jej się po raz pierwszy w życiu.

– Przepraszam, czy to jakaś różnica kulturowa, której nie jestem świadoma, czy też wciskasz seks do rozmowy, gdy się nudzisz?

– Robię to, kiedy tylko mogę.

Wybuchła śmiechem. Zaskoczyło go, że brzmiało to autentycznie.

– Tracisz czas – rzuciła, uśmiechając się szeroko. W jej spojrzeniu było wyzwanie. – Przykro mi, ale muszę ci powiedzieć to, co powtarzałam wszystkim mężczyznom próbującym nawiązać kontakt z moim szefem przeze mnie: jestem całkiem wyzbyta potrzeb seksualnych.

Dominika mniej zaskoczyłoby, gdyby wyjęła z kieszeni granat, wyciągnęła zawleczkę i cisnęła nim na podłogę. Musiał się przesłyszeć.

– Że co?

Gdy się uśmiechnęła, miała minę najedzonego, zadowolonego z siebie kota.

– Jestem aseksualna – powiedziała. W głosie wybrzmiewała radość. Stało to w sprzeczności z pewną słabością ukrytą w spojrzeniu i pamięcią o tym, jak rozpływała się pod wpływem jego gorącego pocałunku. – Seksualność to spektrum. U niektórych ludzi popęd jest kluczową siłą

ciągnącą ich przez życie od jednego stosunku do drugiego. Nie u mnie. Prawdę mówiąc, nigdy nie rozumiałam, co w tym atrakcyjnego.

Wydawało mu się, że ze zdziwienia opadła mu szczeka, ale był zbyt skołowany, by się upewnić. Siedziała naprzeciw niego i wygadywała bzdury, do tego z miną świadczącą o tym, że wierzy w każde słowo.

– Ale... zdajesz sobie sprawę, że seks i całowanie to dwie różne rzeczy?

– Całowałam się już wcześniej – odparła, kręcąc głową i zadzierając nosa, zupełnie jakby zachowywał się głupio. On. Głupio. – Eksperymentowałam z całowaniem na studiach, zapewne tak jak i ty. Stąd wiem, że to nie dla mnie.

– Eksperymentowałaś – powtórzył, jakby próbując w ten sposób znaleźć sens w zdaniu wypowiedzianym z osłupiającą pewnością. – Z całowaniem.

– Jak mówiłam, są różni ludzie. Nie każdego kręci miotanie się nago po pościeli. Nie mówię, by było to coś złego, po prostu część z nas zaprzęta sobie głowę innymi sprawami. – Dominik przyjrzał jej się. Był pewien, że choć może faktycznie wierzy w to, co mówi, to on... on zburzyłby fundamenty tej wiary.

– A czym, odważę się zapytać, zaprzętasz swoją głowę, jeśli nie... miotaniem się?

– Zrobiłeś całkiem sporo uwag co do realizowania przeze mnie zachcianek pana Combe’a, lecz ja traktuję swą pracę niezwykle poważnie. Wymaga ona oddania, skupienia i energii. Nie potrafiłabym zaprzepaścić tego wszystkiego dla wieczornego szlajania się po pubach tylko po to, by...

– Miotać się. Nago.

– Dokładnie.

Dominik pojął dwie rzeczy. Był ich tak pewny, jak tego, że dziewczyna kłamie na temat swojej seksualności. Po pierwsze, ta seksowna blondynka

o karmelowych oczach i olśniewających szpilkach jest dziewczą. Po drugie, bardzo go to kręciło.

– Zauważyłam, jak na mnie patrzysz – ciągnęła. Była zbyt wyluzowana, jak na jego gust. Rozparta w skórzanym fotelu, przekonana o tym, że całkowicie panuje nad rozmową. I nad nim. – Nie rozumiem, czemu mężczyźni traktują to jak rzuconą rękawicę.

– Doprawdy?

Tym razem to ona wzruszyła ramionami.

– Dobrze się czuję w swojej skórze.

– Oczywiście. – Też rozłożył się wygodnie na fotelu, naśladowując jej pozycję. Przez dłuższą chwilę przyglądał jej się badawczo, aż jej pełen pewności siebie uśmiech zbladł. – Czerwony Kapturku, informuję na przyszłość: ludzie, którym dobrze we własnej skórze, raczej nie wspominają o swojej seksualności.

– Och, rozumiem. – Wrócił jej triumfalny uśmiech, z domieszką politowania. – Jesteś zły, bo sądzisz, że nie podobał mi się pocałunek. To nie tak, panie James. Ja po prostu nie lubię pocałunków w ogóle.

– Z naszej dwójki to ja czuję się dobrze takim, jakim jestem. A co najważniejsze, jestem świadomy, jaki jestem naprawdę.

– Bardzo mnie to cieszy. – Znów uniosła głowę. – Widziałam to już setki razy. Będziesz chciał mnie teraz pocałować, pewien tego, że samo muśnięcie twych warg otworzy przede mną świat rozkoszy cielesnych. To nie podziiała, ale mi nie uwierzysz. – Miała tupet udawać znudzoną. – Jeśli nie masz nic przeciwko, wolałabym przeskoczyć etap urażonej samczej dumy.

– Skoro nalegasz. – Nerwowo pocierał palcami brodę. Wiedział, że jeśli się teraz nad nią nachyli, tylko dostarczy jej argumentów. – Przeskoczmy całowanie. Co czeka na nas dalej?

– Interesy, oczywiście.

– W takim wypadku, Czerwony Kapturku, mamy wspólny cel. Chcesz mnie chyba wywabić z mojej leśnej chatki i pokazać mi wielki świat?

– Owszem. Podaj tylko swoją cenę.

– Musisz pozwolić mi się całować, kiedy tylko zechcę – odparł. Starannie tonował swój głos, by nie usłyszała w nim palącej, zachłannej żądz. – Tylko tyle. Zgódź się i pojedę dokądkolwiek zechcesz i zrobię, cokolwiek sobie zażyczysz.

– Nie bądź śmieszny.

Myślała, że żartuje. Rozpoznał to, gdyż nie zeszywniała, a na jej policzkach nie było rumieńca. Uśmiechała się do niego z politowaniem, jakby był idiotą. Trochę też się nim czuł. Nie miał jednak zamiaru wycofać się ze swojego żądania.

– Twoja obsesja na punkcie bajek zaszła za daleko. Wróćmy do rzeczywistości, choć zapewne jest ci ona obca.

– Po pierwsze wiedz, że ja nigdy się nie wygłupiam – odparł niskim głosem. – Po drugie, gdy składam obietnicę, dotrzymuję jej. A ty? Pozwolisz mi cię całować kiedy tylko zechcę. To proste żądanie do spełnienia. Szczególnie dla kogoś, kto nie przywiązuje wagi do całowania.

– Już mówiłam, wiem, dokąd to doprowadzi. – Przestała się uśmiechać. Zmarszczyła brwi. – Mówisz o całowaniu, ale myślisz o czym innym. To zawsze eskaluje. – Pokręciła głową przecząco. – Jestem aseksualna. Nie zmienisz tego.

– Cudownie! Też jestem aseksualny, przynajmniej według twojej definicji. Bądźmy aseksualni razem! Możemy ustalić zasady, jeśli chcesz. – Tym razem to on się uśmiechał. – Zasada pierwsza, o której już wspomniałem: musisz mi pozwolić cię całować, gdy tylko zechcę. I tak, jak

zachcę. Zasada druga, gdy nie będziesz sobie życzyła, bym cię całował, powiesz, żebym przestał. Tyle. To wszystko, czego chcę.

– Ale... – Głos miała blady. Uznał to za oznakę swojego triumfu.

– W zamian za to, Czerwony Kapturku, pomaszeruję prosto do Anglii na smyczy twojego szefa i odegram rolę zaginionego brata, jak tylko będzie sobie tego życzył. Jak myślisz, co każe mi robić? Akty wiernopoddane w miejscach publicznych?

Wyglądała na skołowaną. Uwielbiał wybijać ją z rytmu. Te rozchylone, zdziwione usta i zagubione spojrzenie... Podobało mu się to. Bardzo.

– Nie rozumiem. Możesz poprosić o cokolwiek na świecie, a chcesz... pocałunku.

– Nie możesz mnie kupić, Lauren. Ale możesz mnie pocałować.

Wyraźnie wątpiła w ten pomysł, ale po chwili zdawała się go rozważać.

– Jak długo miałyby trwać ta umowa? – spytała.

Wzruszył ramionami.

– Dopóki ten twój pan Combe będzie wymagał, bym był dostępny i widoczny.

– I obiecujesz, że przestaniesz, jeśli cię o to poproszę?

– Jaki byłby ze mnie mężczyzna, gdybym postąpił inaczej?

– Cóż... zakładam, że tu, pośrodku lasu, nie masz zbyt wielu okazji, by się z kimś całować. Dobrze zatem. Powiedz tylko, dlaczego tak się uparłeś, by całować się właśnie ze mną?

– Cóż mogę powiedzieć? Zawsze miałem słabość do Czerwonego Kapturka.

Westchnęła głośno, po czym pozwoliła sobie na niewielki uśmiech.

– Jeśli tego właśnie chcesz, będziemy się całować. Ale wyjedziemy do Anglii tak szybko, jak to tylko możliwe.

– Wedle rozkazu – wymamrotał. Był cały napalony. Przepełniały go poczucie triumfu i mroczne żądze, którym niedługo zamierzał dać upust. – Jednak najpierw: pocałunek. Obiecałaś.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Lauren była zakłopotana.

Poprzez swoją pracę miała okazję poznać wielu wpływowych mężczyzn i uważała się za ekspertkę, jeśli chodziło o ich zachowania. Nigdy jednak nie poznała kogoś takiego jak Dominik James. Nie miał żadnej władzy, a zachowywał się, jakby cały świat był jego własnością.

Było to jednak nieistotne. Musiała tylko sprowadzić go do Londynu, a nie zrozumieć jego zachowanie.

– Chcesz mnie pocałować właśnie teraz?

Siedział przed nią, rozparty na fotelu, z dziwnym błyskiem w oku. Reszta jego twarzy miała jednak całkowicie poważny wyraz. Znacząco poklepał się po kolanie. Lekkie wygięcie warg niemal odmieniło jego ponurą minę.

Zmusiła się do podniesienia się z fotela. Cały czas towarzyszyło jej to dziwne doznanie, jakby całe jej ciało się rozpływało. Zwykle tak się czuła, gdy zakładała nową parę butów. Lubiła to. Sądziła, że tak właśnie powinna się czuć kobieta.

Wiele razy rozmyślała nad tym, że gdyby Matteo kiedykolwiek spojrzał na nią tak, jak ona na buty, wyczułaby to. Nigdy jednak się to nie wydarzyło.

Nie rozumiała, czemu poczuła to teraz, w chacie pośrodku lasu. I czemu Dominik upierał się, by to popsuć całowaniem.

Sposób, w jaki ją pocałował, był inny niż jej dotychczasowe doświadczenia z czasów młodości. Niemniej czar nie trwałby wiecznie. Lauren wiedziała, że prędzej czy później on stawałby się coraz bardziej rozochocony, ona zaś – coraz mniej zainteresowana.

Tak było zawsze.

Wolała zatrzymać się w momencie, gdy mężczyzna patrzył na nią i wyobrażał sobie, że jest godna pożądania, na wskroś kobieca i zdolna do odczuwania wszystkiego tego, co prawdziwe kobiety.

Już ją wcześniej pocałował. I dobrze, pomyślała. Wiedziała, na co się pisze. Do tego całowanie się z Dominikiem nie było równie nieprzyjemne, jak jej dotychczasowe doświadczenia.

Wręcz przeciwnie, sufłował chytry głos w jej głowie.

– Być może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale stanie na środku pokoju nieszczególnie wiąże się z całowaniem – powiedział niepokojąco rozbawionym głosem.

– Mam ci usiąść na kolanach? – spytała, nie kryjąc zdziwienia.

– Całujemy się, kiedy zechcę i jak zechcę – powiedział miękko. Znowu błysk w oczach.

Od dziecka nikt jej nie chciał, nawet rodzice. Brakowało jej więc zdolności pragnienia kogoś innego. Zamiast tego, nauczyła się być potrzebną.

Dlatego wybrała karierę osobistej asystentki. Podobało jej się, że w świecie korporacji gra toczyła się o najwyższe stawki, ale przede wszystkim kochała w pracy to, że Matteo naprawdę jej potrzebował. Bez niej nie mógłby wykonywać swojej pracy.

Teraz zaś chciał dobrze ułożonego brata, przygotowanego do kontaktów z mediami i powolnego jego woli. Zdecydowana była mu go dostarczyć.

Ogień w kominku zdawał się grzać coraz mocniej. Wydawało jej się, że płomienie wręcz prześlizgują się po jej ciele, liżą twarz. Nigdy dotąd nie siedziała na kolanach mężczyzny, nie miała też na to najmniejszej ochoty, a zachowanie Dominika nie pomagało.

Stała między jego wyciągniętymi nogami, po czym powoli usiadła, niezręcznie wspierając się ręką na jego ramieniu. Zdała sobie sprawę, że nigdy sama nie inicjowała pocałunku. Coś jej jednak wzbraniało mu o tym powiedzieć.

Potężne, muskularne uda grzały ją od dołu. Ogień w palenisku musiał chyba zająć jej ubrania, to jedyne wyjaśnienie tej fali gorąca. Niewielka przestrzeń między nimi była naelektryzowana. Czuła, że zaczyna jej brakować tchu.

Oparła się o jego potężny tors, obróciła się nieco, by znaleźć się z nim twarzą w twarz, dość blisko, by móc go pocałować. A przynajmniej tak jej się wydawało, w końcu nigdy tego nie robiła.

Oszczędnym ruchem chwycił ją lekko za biodra.

Przecież nie powinno jej to wprawić w drżenie!

Przełknęła nerwowo. Palił ją dotyk jego szerokich palców. Czuła, jakby pod nią znajdował się nie człowiek, a rozpalona kuźnia.

Z tak bliska mogła się przyjrzeć szczegółom, na które do tej pory nie zwróciła uwagi. Miał niesamowicie przystojną twarz: wysoko osadzone kości policzkowe, ostry nos i sterczącą po męsku szczękę. Do tego te jego niesfornie opadające włosy, w które, z jakiegoś powodu, chciała zanurzyć palce.

Powoli, ostrożnie nachyliła ku niemu usta, po czym wtuliła je w jego wargi.

Przez jedno, długie uderzenie serca, czuła jedynie dotyk ust.

No, pomyślała z satysfakcją. Przyszło mi to łatwiej, niż myślałam...

Wtedy właśnie przechylił głowę. Nie pocałował jej tak, jak zrobiła to ona: niepewnie, z wahaniem. Pociągnięciem języka utorował sobie drogę do jej wnętrza i Lauren zajęła się ogniem.

Duże dłonie Dominika powędrowały z jej talii ku plecom, wzmacniając uścisk. Przytuliła się do niego i pozwoliła swoim rękom dowolnie wędrować po mapie męskiego ciała: szerokich, twardych ramionach, rozkosznie szorstkiej szczęce. Oczywiście, wsunęła je także w zachwycająco ciemne włosy. Były gęste i zmierzwione, jak jedwabna przędza.

On zaś cały czas ją całował, powoli i dokładnie, aż nauczyła się odpowiadać na każde pchnięcie jego bezlitosnego języka. Teraz to ona przechylała głowę i jak oszalała szukała idealnej pozycji.

Zapomniała, że to tylko element umowy. Zapomniała o wszystkim – każda myśl została wyparta przez jego smak.

W końcu zaś poczuła inną potrzebę. Narastała w niej, przejmująca i ostra. Rozeszła się po jej ciele od stóp do czubka głowy, a następnie zgromadziła się w miejscu między jej nogami.

Oderwała od niego usta, przestraszona i zawstydzona. Momentalnie doznała także jeszcze jednego uczucia: żalu.

Przez moment ledwo mogła zdzierżyć niewielki dystans między ich ciałami, palący jak ogień. Oczy miał jasnosrebrne, utkwione w jej spojrzeniu. Jego usta były jednocześnie pokusą i zagrożeniem. Nie rozumiała, co się z nią dzieje.

– Obiecałeś – ledwo zdołała powiedzieć. Przez resztę życia zapewne będzie się zadreć, jak słabo i bezbrinnie w tej chwili brzmiała.

– Obiecałem – potwierdził.

Głos miał ciemny i chrapliwy. Zadrżała.

– Obiecałeś i już tę obietnicę złamałeś. Nie zajęło ci to...

Urwała gwałtownie, gdy przesunął dłonią po jej kocyku i delikatnie go pociągnął.

– Jaką obietnicę złamałem? – spytał łagodnie. Zmarszczyła brwi. Nie wierzyła w jego łagodność.

– Jeden pocałunek – wycedziła surowo.

Lekko wykrzywił usta.

– To ty decydujesz, kiedy przestać, Czerwony Kapturku. Nie przypominam sobie, żebyś jakkolwiek protestowała.

Poczuła się jak idiotka.

Miał rację. Nie przerwała tego.

Momentalnie zerwała się na równe nogi i odskoczyła od niego. Czuła rozpaczliwą potrzebę wprowadzenia dystansu między sobą a tym człowiekiem.

– Taką mieliśmy umowę. Nieprawdaż? – zapytał tym samym łagodnym głosem. Nie ruszył się, tylko ją obserwował i wyglądał przy tym na rozbawionego. Szczególnie, gdy obiegiła przeciwległy fotel i schowała się za jego oparciem jak za tarczą. – Mam nadzieję, że nie chcesz mi powiedzieć, że już żałujesz zawarcia naszej umowy.

Lauren nie wierzyła w bajki. Nagle jednak dotarło do niej, że te nie były wyłącznie wesołymi przygodami pełnymi księżniczek, powłóczystych sukien i śpiewających myszy. Były też starsze, oryginalne wersje znanych historii. Pełne mroku, krwi i upiornych konsekwencji. Były w nich lasy pochłaniające ludzi, cierniste krzaki kradnące sto lat życia. Podstępne wiedźmy żądające straszliwej ceny za przysługi, czy dzieci spłacające długi ojców w makabryczny sposób.

Byli też mężczyźni tacy jak Dominik, z oczami pełnymi zakazanej wiedzy i pewności siebie. I mieszkańcy leśnych chatek, których mądre dziewczynki powinny unikać.

Lauren była jednak ślepa na niepokojące sygnały: trudności w wytropieniu Dominika, ostrzeżenia oberżysty, ścieżkę przez ciemny las. Za wszelką cenę chciała dowieść Matteowi swoich umiejętności i oddania podczas trudnego okresu w jego życiu.

Tak bardzo kochała być potrzebna.

– Niczego nie żałuję – skłamała. Miała wrażenie, jakby usta, którymi poruszała, nie należały już do niej. Choć trudno jej było spojrzeć mu prosto w te jasnoszare, przenikliwe oczy, zmusiła się do tego. Wytrzymała jego wzrok. – Musimy jednak już teraz wyruszyć do Anglii. Tak się umówiliśmy.

Nie poruszył ustami, ale i tak w wyobraźni widziała ten jego wilczy uśmiech. Obnażone kły. Zupełnie, jakby już skosztował pierwszy kęs.

– Ależ oczywiście – odparł cicho. – Dotrzymuję obietnic, Lauren. Zawsze. Lepiej o tym pamiętaj.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W czasie zjazdu ze zbocza góry SUV-em Dominika i przesiadki na najbliższym lotnisku w czekający na nich prywatny samolot, Lauren zdążyła przekonać samą siebie, że ją po prostu poniosło. Udzieliła jej się niezwykłość wydarzenia i okoliczności przyrody, powtarzała.

Na pokładzie samolotu doszła do siebie. Czuła się doskonale w odrzutowcu Combe Industries. Była w swoim żywiole. Zajęła zwyczajowy fotel, odpowiedziała na mejle i poinformowała Mattea, że nie tylko odnalazła jego starszego brata, ale też niedługo dostarczy go do Anglii. Wszystko zgodnie z wytycznymi.

Niesamowite, jak kilka prostych czynności sprawiło, że znów czuła się sobą.

Bajki dla dzieci. Na litość boską! Co też jej strzeliło do głowy?

Obiecała sobie solennie, że już nigdy nie ulegnie podobnym nonsensom.

Jednak przez cały lot, nieważne jak zawzięcie koncentrowała się na ekranie laptopa, wyraźnie odczuwała obecność Dominika. Czuła ciężar jego wzroku, śledzącego każdy jej ruch.

Powrót do Londynu był dla niej zarazem powrotem do dawnej wersji siebie. Beton, cegła, asfalt: namacalne oznaki świata, jaki знаła.

– Zielone wzgórza Anglii wyglądają raczej jak szare kałuże z rzędami obskurnych małych gospodarstw – rzucił Dominik z tylnego siedzenia

samochodu, którym odebrano ich z prywatnego lotniska poza miastem. – Rozczarowujące.

– Na pewno słyszałeś o tym, że w Anglii pada, i to całkiem solidnie.

Sądziła, że nic nie oderwie jej od ekranu telefonu, ale każda komórka jej ciała gwałtownie zareagowała, gdy tylko się obrócił ku niej. Trudno jej było udawać nawet, że nie zauważyła, jak jego wielkie ciało wypełniło większość przestrzeni z tyłu pojazdu. Miał bardzo długie nogi. Fascynowały ją też jego buty: czysto użytkowe.

Nie siedział jak San Giacomo. Mógł wyglądać jak jeden z nich, ale był dalece bardziej... pierwotny. Matteo i jego siostra, Pia, mieli te same szare oczy, od czasu do czasu wyglądali pochmurnie.

Nie mogła się opędzić od wrażenia, że Dominik był chmurą burzową.

– Co teraz? – spytał leniwie. Wątpiła, czy naprawdę interesowała go odpowiedź. Dla niego wszystko wydawało się grą.

Ona również.

Natychmiast zbesztła się w myślach za folgowanie swoim emocjom. Posłała mu surowe spojrzenie.

– Dostarczam cię do siedziby Combe Industries w Londynie – odparła tak zwięźle, jak tylko umiała. Szczególnie, że nie mogła oderwać wzroku od jego pogardliwego uśmiechu. – Gdy tam dotrzemy, poczekamy na dalsze instrukcje od pana Combe’a.

– Instrukcje – odparł rozbawiony. – Nie mogę się doczekać.

Zacisnęła palce na telefonie. Rozluźniła chwyt dopiero, gdy poczuła ból dłoni.

– Pana Combe’a nie ma obecnie w Anglii. – Nie wiedziała, dlaczego nie poczekała z tą informacją. Mogła mu powiedzieć, gdy już będą w biurze. W miejscu, gdzie czuła się najpewniej. – Przebywa teraz w Perth, w Australii. Osobiście wizytuje wszystkie siedziby firmy.

Nawet jeśli Lauren spodziewała się, że na wieść o odnalezieniu brata Matteo wskoczy do samolotu i natychmiast poleci się z nim spotkać, to zachowała to dla siebie. Nic nie zapowiadało bowiem, by miał tak postąpić.

– Święty opuścił Anglię? – spytał Dominik, parodiując oburzenie. – Skąd będziemy wiedzieć, w jaki sposób najlepiej możemy mu służyć, jeśli go z nami nie będzie, by wypowiadać swe życzenia?!

– Zapewniam cię, że nie będzie z tym problemu. Moja praca między innymi polega na tym, by dopilnować realizacji jego woli, niezależnie gdzie się teraz znajduje. Nie martw się: dowiesz się dokładnie, czego od ciebie oczekuje.

Nie powinna tego w ten sposób powiedzieć, ale zdała sobie z tego sprawę już po fakcie. Srebrzyste oczy Dominika przeszły ją na wylot.

– Tam między nami, Czerwony Kapturku, sprostanie cudzym oczekiwaniom nie jest moją mocną stroną. – Głos miał niepokojąco cichy. – Wolę wyrąbać sobie własną ścieżkę.

– W rodzinie San Giacomo nie ma miejsca na wyrąbywanie czegokolwiek. Ród istnieje od stuleci. Ich bogactwo było jednym z głównych filarów potęgi Wenecji. Choć z czasem ich znaczenie dla gospodarki zmalało, zachowali swój wysoki status społeczny.

– Brzmi cudownie – mruknął. – Jestem pewien, że osiągnęli to wszystko bez plamienia sobie rąk krwią niewinnych.

– Nie mogę ręczyć za to, co San Giacomo robili w ósmym wieku, ale zapewniam, że przekonasz się, że Matteo Combe to dobry, przyzwoity człowiek.

– A ty jesteś jego największym obrońcą – odparł. Z jego głosu zniknęły ślady znudzonej obojętności. – Faktycznie, musi ci dobrze płacić.

– Niezależnie od twoich poglądów, krew San Giacomo w twoich żyłach oznacza, że będziesz musiał sprostać oczekiwaniom.

– A to niby dlaczego?

– Obecnie rodzina skupia uwagę większej liczby osób niż zwykle.

– A mnie się wydawało, że uwaga skupiona jest raczej na gałęzi rodu związanej z rodziną Combe’ów. – Powiedział po chwili. – Mniej filaru potęgi Wenecji, więcej mordobicia z Yorkshire.

Nie zareagowała od razu na ten zarzut i wywołało to u niej momentalnie poczucie winy wobec szefa.

– Był pod wielką presją. Chował ojca, a kilka tygodni wcześniej – matkę. Powinieneś to zrozumieć.

– Chyba nie potrafię – odpowiedział Dominik, tym razem całkiem poważnie. – Nigdy nie znałem nikogo, kto nazwałby mnie synem, co więc mogę wiedzieć o zachowaniu na pogrzebie ojca?

Poczuła się tak, jakby ją spoliczkował. Co gorsza, zaczerwieniła się ze wstydu, zupełnie jakby zasłużyła sobie na to.

– Czy nie możemy wstrzymać się z tą kłótnią...

Dominik się roześmiał.

– To dla ciebie kłótnia? Jesteś faktycznie przewrażliwiona, Czerwony Kapturku. To tylko rozmowa. I to całkiem przyjazna.

– ...do czasu, aż znajdziemy się w biurze? Zrobię telekonferencję z panem Combe’em. Wtedy on odpowie na wszystkie twoje pytania zamiast mnie.

– Świetny pomysł – odparł, po czym wygiął usta w wyzywającym uśmiechu. – Pocałuj mnie.

Musiała mieć chyba omamy, kiedy godziła się na tę absurdalną umowę.

– Nie mówisz poważnie. Nie tutaj!

– Czy będę musiał ci przypominać o tym za każdym razem: całujemy się, kiedy chcę i tak, jak chcę. – Głos miał miękki, ale twarz napiętą. – No

dalej, Lauren. Jesteś słowna czy też nie?

Miejsce wszystko pogarszało. Tam była w leśnej głuszy, na krańcu świata. Teraz znajdowała się w Anglii, na przedmieściach Londynu, w samochodzie. To był jej świat, w którym mogła być dumna ze swego chłodnego profesjonalizmu.

Dominik pokręcił głową z dezaprobatą.

– Zgodziłaś się na to, Lauren. Nie ma co teraz udawać, że to cię odrzuca. – W oczach pojawił mu się złowrogi błysk. – Mam wrażenie, jakby pocałunki coś w tobie obudziły.

Była przerażona. Tak, to musiało być przerażenie – to uczucie zawrotu w głowie, zupełnie jakby była pijana. Nie rozumiała, dlaczego tak bardzo nie chce dać mu do zrozumienia, że jego pocałunek był jedynym, wobec którego nie potrafiła pozostać obojętna. Nie mógł się o tym dowiedzieć.

Ledwo była w stanie się do tego przyznać sama przed sobą.

Przesunęła się ku niemu po tylnym siedzeniu, zdecydowana, by dotrzymać słowa.

Dominik oparł ją o swoją pierś, po czym umieścił ją na swych kolanach. Czuła twardość jego ud oraz tego, co znajdowało się między nimi. Lauren zaś była... bezsilna i otumaniona. Znów znajdowała się na nim, znów czuła dłonie na biodrach.

– No, przecież wiem, że umiesz to robić, Czerwony Kapturku – prowokował. – A może pogrywasz sobie ze mną?

– Nie bawię się w żadne gierki – odparła sztywno.

Chciała, by przestał gadać. I chciała mieć to już z głowy, tak szybko, jak to było możliwe. I nagle oba te pragnienia splotły się ze sobą i zrodziły świetny pomysł, by unieść obie dłonie i objąć nimi jego twarz.

Zamilkł natychmiast.

Patrzyła jak zakłeta na jego wyraźnie zarysowaną szczękę. Rozkoszowała się szorstkością jego zarostu. Powoli studiowała palcami policzki, kształt warg... ich drżenie przeniknęło ją do głębi.

Nagle poczuła szaloną potrzebę pocierania się o niego całym ciałem.

Zamiast tego pocałowała go.

Miała plan musnąć go ustami i natychmiast się odsunąć, ale gdy tylko posmakowała go ponownie, całkiem o tym zapomniała.

Jego usta były wiodącym na pokuszenie grzechem, ona zaś pozwoliła mu się opętać. Przechyliła głowę i pogłębiła pocałunek. Dokładnie tak, jak ją nauczył.

Trwała tak w połączeniu z nim, w samochodzie mknącym ulicami Londynu. Gdzieś z tyłu głowy pojawiła się myśl, że to doświadczenie przemieni ją na zawsze.

Całowała go długo, a gdy wreszcie odsunęła usta, była przekonana, że jego wargi podążą za nią. Dominik tego jednak nie zrobił.

– Dobra dziewczynka – powiedział z zagadkowym wyrazem twarzy. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że ją prowokował. – Miło wiedzieć, że dotrzymujesz obietnic, nawet gdy dostaniesz to, czego chciałaś.

– Jestem bardzo słowną osobą, panie James – odparła zwięźle.

Nagle przyszła chwila opamiętania. To, że siedziała na nim, stało się dla niej nie do zniesienia. Zsunęła się z niego nieporadnie, odprowadzana przez świdrujące spojrzenie. Miała wrażenie, że jego szare oczy przenikają ją na wylot.

– Jedyne, o czym powinienes teraz myśleć, to pierwsze spotkanie z rodziną – oznajmiła, zmarszczywszy brwi. – Nie zdziwiłoby mnie, gdybyś się tym przejmował.

– W ogóle się tym nie przejmuję.

– Zrozumiem, jeśli...

– Nie zrozumiesz. – W jego głosie brakowało ostrości, ale i tak wyczuła zdecydowanie. – Wychowałem się w sierocińcu, Lauren. Powiedziano mi, że moi rodzice nie żyją. Gdy podrosłem, odkryłem, że równie dobrze mogą być cali i zdrowi, po prostu mnie nie chcieli. Nie wiem, dlaczego spodziewasz się po mnie pełnego łez i emocji spotkania z rodziną.

Miała ochotę ponownie sięgnąć ku niemu, tym razem by go dotknąć. Przeraziło ją to.

– Masz rację. Nie zrozumiem. Wiem za to na pewno, że pan Combe zrobi wszystko co w jego mocy, by ułatwić ci odnalezienie się w nowej sytuacji.

– Jesteś bardzo pewna każdej myśli pana Combe’a.

– Pracuję dla niego od dawna.

– Cóż za oddanie. A cóż takiego uczynił, by zasłużyć sobie na twoją niezachwianą lojalność?

Poruszyła nerwowo palcami u stóp. Czy to było aż tak czytelne? Znów miała poczucie, że czyta każdą jej myśl. Nie życzyła sobie tego.

– Ach, tak – podjął ponownie Dominik, gdy nie usłyszał odpowiedzi. Inna, mroczna barwa zagościła w jego głosie. – Jesteś asekualna, sama mi to powiedziałaś z głębokim przekonaniem, a przy tym zakochałaś się w swoim szefie. Powiedz, jak to działa, bo się pogubiłem.

– Ja nie... – zaczęła, nie była jednak w stanie dokończyć zdania. Zrobiło jej się duszno. Chciała otworzyć okno, ale nie była w stanie się poruszyć. – Matteo Combe jest jednym z najlepszych ludzi, jakich znam. Uwielbiam dla niego pracować. Tyle.

Nigdy nie powiedziałyby, że go kocha. I z pewnością nigdy nie pomyślałyby o nim w kontekście seksualnym. Byłoby to pogwałcenie wszystkich lat ich współpracy. Chciała tylko, by ją docenił. Jako kobietę. By zobaczył w niej coś więcej niż chodzący, gadający kalendarz.

– I ten wzór wszelkich cnót nie wróci spotkać brata, na którym, jak mówisz, tak bardzo mu zależy? Być może wcale nie znasz człowieka, którego kochasz, tak dobrze, jak ci się wydaje.

– Znam go na tyle, na ile powinnam.

– Wiem, że nigdy cię nie posmakował – rzekł z całą swoją bezwzględnością. Miała ochotę się rozpłakać. – Nieprawdaż?

Ledwo była w stanie oddychać. Zrobiła się tak czerwona, że jej policzki mogłyby służyć za sygnalizację świetlną.

– Brak odpowiedzi też jest swojego rodzaju odpowiedzią, Czerwony Kapturku – wymruczał. Ze zgrozą stwierdziła, że jego twarz promieniała satysfakcją.

Poczuła niesamowitą ulgę, gdy samochód zatrzymał się wreszcie przed siedzibą Combe Industries. Wiedziała jednak, że to tylko ulotny moment wytchnienia, gdy otworzyła drzwi i wyszła na cudownie rześkie, brytyjskie wieczorne powietrze.

Próbowała poskładać się do kupy po szalejącej burzy, jaką był Dominik James.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nie było najmniejszych wątpliwości, że mężczyzna na ekranie był bratem Dominika. Widać to było po kształcie szczęki i kolorze oczu. Miał krótsze włosy, a każdy szczegół jego wyglądu zdradzał bogactwo i wysokie mniemanie o sobie. Zegarek, który nosił. Krój garnituru. Sposób siedzenia, jak monarcha na tronie.

To był pierwszy krewny, jakiego Dominik spotkał, zakładając oczywiście, że wideokonferencja to spotkanie. Ten... arystokrata.

Nie był sobie w stanie wyobrazić istoty bardziej odmiennej od niego niż ten nowo poznany brat. On cierpiał i był zmuszony walczyć o każdy ochłap, a ten człowiek sprawiał wrażenie, jakby nie był w stanie nawet mrugnąć bez wsparcia przeszkolonej służby.

Wpatrywali się w siebie nieprzerwanie.

Dominik stał w biurze Lauren, rozległym i nowoczesnym pomieszczeniu umeblowanym tak, by każdy gość wiedział od razu, jak bardzo ważną jest ona osobą – szczególnie, że stała na straży wejścia do jeszcze większego i okazalszego gabinetu.

Ten drugi należał oczywiście do Mattea Combe'a, człowieka, który otrzymał wszystkie przywileje związane ze swoim pochodzeniem, podczas gdy Dominik otrzymał wyłącznie hańbę.

Matteo Combe, człowiek, którego rozkazy wykonywała Lauren ze ślepych posłuszeństwem.

Dominik postanowił, że nie polubi mężczyzny na ekranie.

– Poznałbym cię wszędzie – zaczął Matteo po długim milczeniu.

Dominika ubodłoby przyznanie, że i on bezbłędnie rozpoznałby w Matteo swego brata. Przede wszystkim mieli te same oczy, dzielili także postawę. Dlatego też postanowił to przemilczeć.

– Bracie – odparł zamiast tego Dominik, przeciągając słowo. Użył go niemal jak zniewagi. – Jak miło cię spotkać niemal osobiście.

Po wirtualnym spotkaniu rodzinnym Lauren wyprowadziła go z gabinetu do pięknej i kosztownie wyposażonej poczekalni. Zastanowił się nad tym, jak niewiele dotąd rozmyślał o nowo poznanej rodzinie.

Przez cały czas, od kiedy opuścił swoją polanę, myślał bowiem wyłącznie o Lauren.

W czasach, gdy poszukiwał swoich rodziców, odkrył, że młody człowiek, który miał czelność zapłodnić dziedziczkę zdecydowanie powyżej jego stanu, zginął w wypadku na morskiej platformie wiertniczej w wieku dwudziestu lat. Na platformę zaś trafił, gdyż nie mógł pozostać w Europie i kontynuować tam studiów po tym, jak jego romans z Alexandriną został odkryty.

Gdy zaś bez większego trudu odkrył rody Combe'ów i San Giacomo zdecydował, że nie chce mieć z nimi nic wspólnego. Wystarczyło mu, jak potraktowali dzieciaka, który go spłodził. W pewnym sensie pozbyli się ich obu, ale Dominik wyrósł ponad śmietnisko, gdzie go porzucili. Inne dzieci jego matki nic dla niego nie znaczyły. Po co miałyby się z nimi spotykać? Mieliby omawiać grzechy Alexandriny?

Pasowało mu odnoszenie sukcesów na własnych warunkach, bez powiązań z wielkimi rodami.

Nie przyszło mu jednak do głowy, że gdy spojrzy w twarz drugiego człowieka, zobaczy tam... siebie. Było to, delikatnie mówiąc, niepokojące doznanie.

Przez przeszkloną ścianę obserwował, jak Lauren kłóci się z widocznym na ekranie Matteem.

Nie musiał jej słyszeć, by wiedzieć, co mówi. Poznał już część jej tajemnic. Rozpoznawał charakterystyczne ruchy warg, a zmarszczki między jej brwiami zdradzały irytację. Niewątpliwie też wiedział, jak wyglądała, gdy była poruszona.

Przekonał się też, że nieważne, jak bardzo by temu zaprzeczała, wyraźnie coś czuła do swojego szefa.

Jej szef. Jego brat.

– Z nim też się całowałaś w ramach twoich eksperymentów? – spytał, gdy opuściła gabinet.

Była bardziej chmurna niż zwykle, co nie powinno mu sprawiać takiej satysfakcji, skoro to nie on miał przyjemność doprowadzić ją do takiego stanu.

Nagle jednak, gdy pytanie do niej dotarło, ku jego ogromnej radości cała spłoszyła. Rozmyślał nad innymi, bardziej ekscytującymi sposobami wywołania u niej rumieńca.

– W żadnym razie! – Głos miała oziębły. On jednak ją znał. Poznał jej smak, wiedział, że chłód, za jakim próbuje się ukryć, to kłamstwo. – Już ci mówiłam, podziwiam go. Lubię naszą pracę. Nigdy nie całowałam... – Tu przerwała, powracając do równowagi. – Mamy dużo poważniejsze sprawy do omówienia niż eksperymenty z całowaniem, panie James.

– Uważam całowanie za bardzo poważną sprawę. Mam zademonstrować?

Poczerwieniała jeszcze bardziej. Ciekaw był, jak daleko sięgał ten rumieniec. Jak zmieniał jej piersi i jaki kolor miały jej sutki. Czy docierał aż do bioder, ud i słodczy między nimi. Chciał zerwać z niej jedwabną bluzkę i osobiście przeprowadzić obserwacje.

– Pan Combe sądzi, że najlepiej będzie, jeśli pojedziemy do Combe Manor. To posiadłość w Yorkshire, gdzie rodzina jego ojca zbudowała swą pozycję. Zdaje sobie sprawę, że nie jesteś Combe, ale sądzi, że w tym momencie sprowadzenie cię do którejś z posiadłości San Giacomo we Włoszech wywołałoby więcej komentarzy.

Dominik pojął, że „w tym momencie” było kluczowym zwrotem całej jej przemowy. Gdy przemawiała, była nieco zbyt sztywna, jej głos stawał się zbyt nerwowy. Przyglądał jej się badawczo, co denerwowało ją jeszcze bardziej. Tym staranniej próbowała to przed nim ukryć.

Próby ukrywania przed nim jej reakcji bawiły go najbardziej.

– Nie wiem, kto mógłby zwracać na mnie szczególną uwagę – odpowiedział po chwili. – Nikt dotąd nie zauważył, że wyraźnie przypominam członka rodziny San Giacomo. Nie wyobrażam sobie, by miało się to teraz nagle zmienić.

– Zmieni się i to natychmiast, jeśli ze swoim wyglądem zostaniesz zauważony w rezydencji San Giacomo.

Lekko pochylił głowę.

– Całkiem nieźle sobie radzę z życiem z dala od wścibskich oczu, Czerwony Kapturku. Coś o tym powinnaś wiedzieć.

– Na twoim miejscu pożegnałabym się z dawnym życiem – wyprostowała się jeszcze bardziej. – Jest tylko kwestią czasu, kiedy testament Alexandriny wycieknie do mediów. Gdy zaś do tego dojdzie, paparazzi poruszą niebo i ziemię, by cię znaleźć. Musimy cię przygotować, zanim to nastąpi.

– Już jestem na to gotowy. Po prostu mnie to nie obchodzi.

Ku swej ogromnej satysfakcji dojrzał w jej karmelowych oczach błysk gniewu, który, jak podejrzewał, był jednym z niewielu autentycznych elementów jej sztucznej, wyuczonej pozy.

– Po pierwsze, dostosujemy twoją powierzchowność tak, by pasowała do rodowodu.

Mimowolnie się uśmiechnął.

– Sugerujesz cudowną metamorfozę? Lauren, moja droga, czy w tym scenariuszu gram rolę Kopciuszka? Jeśli tak, to ty chyba jesteś moją królewną z bajki.

– Metamorfoza to mocne słowo. Mówimy o przymiarkach krawieckich i zmianie garderoby. Może jeszcze lekcja lub dwie dotyczące etykiety. I strzyżenie. Koniecznie. – Prychnęła. – Poza tym nie ma czegoś takiego jak „królewna z bajki”. A idąc twoim tropem rozumowania, jestem raczej dobrą wróżką.

– Nie przypominam sobie, by dobra wróżka i Kopciuszek całowały się w usta. Najwidoczniej bajki, które znasz, są dużo bardziej ekscytujące od moich.

– Nienawidzę bajek – wyrzuciła z siebie. – To dziwaczne historyjki mające zastraszać i podporządkowywać dzieci oraz wmawiać im odpowiedzialność za zło, które im się przytrafia. Poza tym ty i ja musimy się pobrać.

Ostatnie zdanie zawisło między nimi. Patrzyli sobie prosto w oczy. Rumieniec Lauren rozlewał się i ciemniał.

– Przepraszam, chyba nie dosłyszałem. – Teatralnie rozejrzał się po pustym biurze. – Cały ten zgiełk wielkiego miasta musiał mnie oszołomić. Czy ty aby nie poprosiłaś mnie o rękę?

– Nie oświadczam ci się. Po prostu przekazuję ci, że pan Combe uważa to za najlepszy rozwój wypadków. Po pierwsze zdusi to w zarodku napływ łowczyń majątków, które ściągnęłyby tu tabunami zaraz po ogłoszeniu, że istniejesz. Po drugie, od razu uczyni to z ciebie osobę bardziej przystępną i cywilizowaną, ponieważ z jakiegoś dziwnego powodu świat uważa

żonatych mężczyzn za mniej niebezpiecznych. Po trzecie i najważniejsze, to nie będzie prawdziwy ślub w żadnym sensie poza prawnym. I rozwiedziemy się, jak tylko opadnie zainteresowanie tobą.

– Daj spokój, Lauren. Mężczyzna oczekuje nieco romantyczności, nie wypunktowanej listy. Przynajmniej przykłęknij na jedno kolano i powiedz mi coś słodkiego.

– Nie oświadczam ci się! – Jej naskórkowe opanowanie nie wytrzymało. Zrobiła się cała czerwona. – To pan Combe...

– Mam wyjść za własnego brata? – Ostentacyjnie chwycił się za serce w geście oburzenia. – Jaka rodzina tak postępuje?

Myślał, że za chwilę eksploduje. Zaciśnęła ręce w pięści.

– Zgodziłeś się zrobić wszystko, o co zostaniesz poproszony – wypomniała mu z wściekłością. – Nie mów mi, że zamierzasz teraz zerwać naszą umowę, szczególnie po tym...

Po tym jak wielokrotnie go pocałowała, domyślił się.

Im dłużej wpatrywał się w nią bez słowa, tym bardziej była poirytowana, a on – rozbawiony. Chyba był jeszcze gorszym człowiekiem, niż sobie wyobrażał. A spędził sporo czasu, konfrontując się z mniej chwalebными cechami swego charakteru dzięki wychowaniu zakonnicy, które nauczyły go wstydu i nienawiści do samego siebie. Armia też dołożyła potem swoje trzy grosze.

Obecnie Dominik był świadomy wszystkich swoich wad, lecz Lauren wywoływała w nim... coś zupełnie nowego.

Ale akurat na tym wolał się nie skupiać.

– Jaki jest sens w małżeństwie, które nie będzie prawdziwe? – spytał. – Opinia publiczna potrzebuje powodów, by uwierzyć, że jest ono prawdziwe, inaczej nie jest to warte zachodu.

Po prawdzie Dominik nigdy nie zastanawiał się nad małżeństwem. Nie miał okazji zaobserwować prawdziwych relacji rodzinnych ani w sierocińcu, ani na hiszpańskich ulicach. Nie miał emocjonalnego stosunku do idei małżeństwa, poza tym, że był to dla niego zadziwiający zwyczaj, oparty na przeświadczeniu, że dwójka ludzi powinna spędzać razem życie. Do tego mieli się kochać nawzajem.

Dla niego miłość była tym, co tak skąpo rozdzielały zakonnice: nierozłącznie przeplatana z rozczarowaniem, zbyt dużą liczbą modlitw i żądaniami poprawy swego zachowania. Miłość była nie do odróżnienia od jej nieprzyjemnych konsekwencji i łamania charakteru. Wolał nie wracać myślami do tych czasów.

Przywykł do myślenia o sobie jako o samotniku z wyboru. Lubił samotność i doceniał ciszę i spokój. Nie odpowiadał przed nikim. Do niczego nie był przywiązany.

Sam pomysł poślubienia kogoś powinien go przerażać.

Jednak nie przerażał.

Nie, gdy patrzył na kobietę przed nim...

Pomysł mu się nie podobał. Ale nie na tyle, by się z niego wycofał, choć już dawno powinien to zrobić.

Powtarzał sobie, że dla niego jest to tylko gra. Rozrywka. Co go mogła obchodzić reputacja San Giacomo?

Podobał mu się za to smak ust Lauren Clarke. Najwyraźniej też lubił ją drażnić w przerwach między pocałunkami.

– Rozmawiamy o przedstawieniu dla opinii publicznej, o niczym więcej – mówiła nieprzerwanie, marszcząc brwi. Rozumiesz, co to znaczy? To nie będzie prawdziwe. To tylko tymczasowa maskarada. A gdy się skończy, każde z nas pójdzie swoją drogą i będzie udawało, że nic się nie stało.

– Wydajesz mi się podenerwowana, Czerwony Kapturku. Czy istnieje możliwość, że pan Combe, wzór wszelkich cnót pracodawcy, wreszcie przekroczył granicę i zażądał od ciebie zbyt wiele?

– Oczywiście, że nie. – Zebrała się w sobie, zadarła głowę do góry i napotkała wzrokiem jego spojrzenie. W karmelowych oczach dojrzał rzucone wyzwanie, które dostarczyło mu nadspodziewanie dużo radości. – Może już zapomniawsz, ale złożyłeś obietnicę, że zrobisz wszystko, o co poproszę.

Wyszczerzył się szeroko.

– Doskonale pamiętam wszystkie swoje obietnice. Po prostu jestem zszokowany i przerażony, że tak mało poważasz instytucję małżeństwa, skoro sugerujesz poślubienie mnie w ramach wyrachowanej próby zmylenia ogółu populacji, niewątpliwie bez reszty zaangażowanego w śledzenie każdego naszego kroku.

Potrząsnął głową w geście rozczarowania i z wyraźną satysfakcją obserwował, jak Lauren zaciska zęby.

– Jakoś trudno mi uwierzyć, by ci na tym zależało – powiedziała po chwili. – I mam tu na myśli zarówno wprowadzanie w błąd kogokolwiek, jak i małżeństwo.

– To prawda, nie zależy mi – odparł, przechylając głowę na bok. – Ale podejrzewam, że tobie już tak.

Chyba udało mu się uderzyć w czuły punkt. Zesztywniała jeszcze bardziej, chwilę później zaś rozluźniła się zupełnie, jakby była zdecydowana nie dać tego po sobie poznać. Właśnie wtedy jej policzki zapłonęły barwą ostrzegawczą, czym zapewniła go, że owszem, zależało jej.

– W ogóle nie przywiązuję wagi do małżeństwa – zadeklarowała dźwięcznym tonem. – To nigdy nie było coś, do czego bym aspirowała,

jeśli mam być szczerą.

– Oczywiście, że nie, wszak jesteś pozbawiona wszelkich uczuć, o czym z uporem godnym lepszej sprawy cały czas mi przypominasz.

– Nie jestem uczuciowa. Przykro mi, jeśli trudno ci to zaakceptować.

– Nie masz żadnych uczuć wobec małżeństwa, seksu, a nawet całowania, niezależnie, jak na to ostatnie reagujesz. Jesteś pustą otchłanią, zdolną jedynie wykonywać polecenia swego pana. Całkowicie cię rozumiem, Lauren.

To, że ten opis jej się nie spodobał, poznać mógł po tym, jak zmarszczyła brwi i ściągnęła usta. Dominik uśmiechnął się szerzej.

– Jakże szczęśliwy musi być pan Combe, mając do dyspozycji takie oddanie, do tego całkowicie odseparowane od niewygodnych wzruszeń z twojej strony. Równie dobrze mogłabyś być robotem, zbudowanym jedynie po to, by zaspokajać jego potrzeby.

Gdyby spojrzenie było czymś namacalnym, Dominik z pewnością otrzymałby liczne, śmiertelne rany kłute. Nie był za to pewien, czemu każda cząstka jego ciała buntowała się na samą myśl o tym, że może należeć ona do innego mężczyzny.

– To, co pamiętam z małżeństwa rodziców, nie nadaje się do dyskusji w kulturalnym towarzystwie – zaczęła napiętym głosem. Zastanawiał się, czy wiedziała, jak jej ton ją zdradza. Jak oznajmia dokładnie te uczucia, których podobno nie miała. – Rozwiedli się, gdy miałam siedem lat. W przeciągu roku znaleźli nowych partnerów i wzięli z nimi śluby. Wtedy tego nie rozumiałam, ale oznaczało to, że rozstali się na długo przed podpisaniem papierów rozwodowych. Prawda jest taka, że zostali ze sobą tak długo, bo żadne z nich nie chciało przejąć nade mną opieki. – Pokręciła głową, bardziej, by się otrząsnąć, niż czemuś zaprzeczyć. – Uwierz mi,

wiem lepiej niż ktokolwiek, że większość małżeństw to lipa. Nie czyni mnie to jednak robotem, tylko realistką.

Coś w jej opowieści go poruszyło, choć nie był w stanie dokładnie określić, dlaczego.

– Cudownie – odparł zamiast tego. – Zatem spodoba ci się nasze lipne małżeństwo, w całej swej nędznej rzeczywistości.

– Czy to znaczy, że to zrobisz?

Nie potrafił zrozumieć, dlaczego tak bardzo chciał wymazać oschłość z jej głosu. Dlaczego pragnął sięgnąć ku niej i jej dotknąć w sposób niezwiązany z trawiącym go pożądaniem, lecz z tym cieniem bezsilności, który tak bardzo starała się ukryć. Był jednak widoczny w miękkości jej ust, w cieniach pod oczami.

– Zrobię to – usłyszał swój głos. – Dla ciebie.

Natychmiast zapaliły mu się wszystkie lampki ostrzegawcze. Dominik bowiem nie robił niczego dla innych. Nie miał nikogo dość bliskiego, by mógł poprosić go o pomoc, czy oczekiwać przysługi. Nikt nie był mu bliski. Była to cena, jaką płacił za to, co zawsze uważał za święty spokój. Żadnych zobowiązań. Żadnych oczekiwań.

Było jednak coś poruszającego w sposobie, w jaki Lauren zmagala się, by zachować pozory spokoju w obliczu najnowszego, oburzającego żądania jej szefa.

– Dla mnie? – spytała. Najwyraźniej i ona znalazła się w tym dziwnym stanie wyciszenia, z którego Dominik nie mógł się wydostać.

Nie chciał nazywać tego świętością, ale nie miał pojęcia, czy istniało na to lepsze słowo. Jej karmelowe oczy błyszczały jak złote jeziora. Poczuł ucisk w piersi.

– Dla ciebie – odparł z przekonaniem, że właśnie kopie swój grób, łopata po łopacie. Nawet to go jednak nie powstrzymało. Umościł się

wygodniej na fotelu, jeszcze bardziej wyciągnął nogi i wygiął kącik ust w namiastce uśmiechu. – Ale jeśli chcesz mnie poślubić, Czerwony Kapturku, obawiam się, że będę wymagał od ciebie prawdziwych, pełnych romantyzmu oświadczeń.

Zamrugnęła, po czym przełknęła nerwowo.

– Nie mówisz poważnie.

– Nie zamierzam się żenić wielokrotnie. Ten jeden raz musi być idealny, żebym mógł go wspominać do końca moich dni. – Skinął głową w kierunku parkietu u jego stóp. – No, dalej. Na kolana. Mężczyzna lubi być uwodzony.

– Ty nie chcesz być uwodzony. Chcesz po prostu mnie poniżyć.

– Jedno nie wyklucza drugiego. Musisz udowodnić mi swoje zaangażowanie. Jak inaczej miałbym wiedzieć, że mogę bezpiecznie ofiarować ci swoje serce?

Spurpurowiała na twarzy, a oczy miała pełne gniewu. Wolał ją taką dużo bardziej, niż gdy udawała beznamiętnego robota.

– Nie mówimy o sprawach sercowych, panie James – wyrzuciła z siebie. – Tylko o opinii publicznej, zarządzaniu wizerunkiem i PR.

– Jestem tylko prostym pustelnikiem z węgierskiej rudery, nie pojmuję skomplikowanego świata. Jeśli mnie chcesz, musisz mnie przekonać. Na kolana, Czerwony Kapturku.

Wydała z siebie donośny ryk niczym niezmaconej frustracji. Ledwo powstrzymał się od śmiechu. Patrzył, jak próbowała się uspokoić głębokim oddechem. Powoli, jakby każdy krok sprawiał jej ból, zbliżała się do niego. Uklękła przed nim z wdziękiem charakterystycznym dla wszystkiego, co robiła. Przestało mu być do śmiechu. Uderzyła mu do głowy jak jego ulubiona węgierska *palinka*. Nie mógł oderwać wzroku od jej karmelowego spojrzenia.

– Dominiku Jamesie – powiedziała miękko. – Czy wyświadczysz mi ten zaszczyt i zostaniesz moim mężem? Na jakiś czas.

Nie rozumiał, dlaczego coś się w nim buntowało, gdy tylko usłyszał ostatnie doprecyzowanie. Zignorował to.

Sięgnął ku niej i położył dłoń na jej policzku. Wiedział, że i ona to czuła, to samo ciepło rozlewające się po ciele. Prawdziwy, trawiący go żywcem pożar.

– Ależ oczywiście – odparł. Chciał zabrzmieć kpiarsko, ale stracił kontrolę nad tembrem głosu. – O niczym innym nie marzę tak, jak o poślubieniu kobiety, którą ledwie znam, by zaspokoić potrzeby brata, którego nigdy osobiście nie spotkałem. A wszystko po to, by uratować reputację rodziny, która wyrzuciła mnie jak worek odpadków – odparł, choć nie było przecież żadnego rozsądnego powodu, by miał się zgodzić na którąkolwiek z tych rzeczy. Jednak pamiętał, jak Lauren weszła do jego chaty, jak usiadła na idealnie do niej dopasowanym fotelu, który przez cały ten czas czekał właśnie na nią. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej się zastanawiał, czy pasowałaby też do reszty jego życia.

Ta myśl była w całkowitej sprzeczności ze wszystkim, w co wierzył na temat samego siebie. Dominik zastanawiał się, dlaczego nie miałby teraz wstać i wyjść.

Nie zrobił tego jednak.

Co gorsza, nawet tego nie chciał.

– Zgadza się – powiedział poważnym głosem, zdradzając samego siebie bez żadnego powodu. – Ale obawiam się, że moja decyzja, jak wszystko inne na tym świecie, będzie miała swoją cenę. I to ty będziesz musiała ją zapłacić.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Lauren nie pojmowała nic z tego, co się działo.

Była zdumiona, że Matteo zasugerował mimochodem małżeństwo, zupełnie jakby całkowicie normalne było poślubianie obcych ludzi tylko po to, by hipotetyczna strona tabloidu wyglądała nieco lepiej.

Wyjdź za niego – powiedział do niej z drugiego końca świata. – Jesteś przyzwoitą, ciężko pracującą osobą, a do tego od lat masz związku z rodziną.

– Chyba chciałeś powiedzieć, że pracuję dla rodziny. Jestem profesjonalistką.

– Zajmiesz się nim. Przygotujesz do przyszłych zadań. Gdy już minie szok wywołany skandaliczną przeszłością mojej matki, będzie już całkowicie gotowy do zajęcia swego miejsca w rodzie San Giacomo.

– A czy moja nowa rola przewiduje podwyżkę w ramach dodatku za pracę w niebezpiecznych warunkach? – spytała ostrzej, niż zazwyczaj sobie pozwalała wobec szefa. Normalnie jednak nie wysyłał jej na wyprawę do odludnego zakątka świata, gdzie musiała przedzierać się przez puszcze i znosić konieczność ciągłego całowania gburowatych obcych. – A może mam porzucić całe moje dotychczasowe życie na bliżej nieokreślony czas za obecną stawkę?

Nigdy tak do niego nie mówiła. Ale i on zwykle nie reagował tak, jak teraz, milczeniem i przepełnioną smutkiem twarzą. Na ten widok Lauren pożałowała, że cokolwiek powiedziała.

Nie po raz pierwszy też zastanawiało ją, co tak naprawdę działo się między Matteem a jego terapeutką od kontroli gniewu, zatrudnioną przez radę dyrektorów w jawnej próbie pozbawienia go władzy. Najpierw wyjechał z nią do Yorkshire, gdzie stał się nadzwyczaj trudno osiągalny, a później wyruszył z nią na objazd siedzib Combe Industries na całym świecie.

Mniej życzliwa osoba podejrzewałaby, że wyruszyli w wakacyjną podróż dookoła świata.

– Podaj swoją cenę, Lauren – powiedział wreszcie po zdającym się nie mieć końca, pełnym napięcia milczeniu, które dostarczyło jej dość dowodów na to, że choć blisko ze sobą współpracowali, nie łączyła ich żadna osobista więź. – Proszę cię, byś oswoiła nieco mojego brata, zanim pokażemy go światu. Członkowie Rady nie będą zachwyceni kolejnym skandalem powiązaniem z nazwiskiem Combe. Przynajmniej możemy spróbować ich trochę udobruchać.

Zgodziła się też przekazać te wieści Dominikowi. Czy mogła postąpić inaczej? Wbrew wszelkim kąśliwym uwagom Dominika prawdą było, że podziwiała Mattea. Nie był jak jego ojciec, który nigdy nie cofał się przed niemoralnymi praktykami. Matteo miał zasady. Wiedziała o tym, gdyż nieważne, jak bardzo się starała, by ją dostrzegł, on tego nie robił. Traktował ją jak pracownicę, nie kobietę. Przy nim zawsze mogła się czuć bezpiecznie. Dlatego też gotowa była całkowicie się mu poświęcić.

Gdyby choć raz spojrział na nią tak, jak to robił Dominik, nie byłaby w stanie dla niego pracować.

Właśnie o tym rozważała, gdy opuszczała gabinet, by poinformować Dominika o pomysle lipnego małżeństwa, całkiem pewna, że nie zgodzi się i zabije ją śmiechem.

Stało się inaczej.

Planowała przedstawić sprawę sucho i nudno, jak propozycję transakcji biznesowej. Ot, prawie jak fuzję dwóch spółek.

Zamiast tego, klęczała teraz przed nim cała roztrzęsiona.

I jeśli się nie myliła, naprawdę zgodził się z nią ożenić.

Za pewną cenę.

Jak to dobrze, że tak bardzo chcesz ją zapłacić, wyszeptał zdradziecki głosik w jej głowie. Jakakolwiek by ona nie była.

– O jakiej cenie mówimy? – spytała. Posłała mu surowe spojrzenie, tak jakby dzięki temu mogła zapomnieć, że klęczy przed nim jak suplikantka. Albo kochanka. A to, jak dotykał jej twarzy unieważniało jedną z powyższych opcji. – Obiecałam już, że będę cię całować, kiedy tylko zapragniesz. Czego jeszcze mógłbyś ode mnie żądać?

Czuła ciepło jego twardej dłoni na policzku. Rozchodziło się ono falami po jej skórze i głębiej, aż do samego jej rdzenia, wprowadzając ją w drżenie.

– Naprawdę sądzisz, że są jakieś granice tego, czego mężczyzna może pragnąć? – spytał niskim, cichym głosem, który rozchwiał ją jeszcze bardziej.

– Znowu mówisz o seksie – odparła. – Nie wiem, ile razy mam ci powtarzać...

– Jesteś aseksualna. Tak, pamiętam.

Przesunął delikatnie kciukiem po jej dolnej wardze i wykrzywił kąciuki ust, gdy mimowolnie westchnęła sykliwie. W jego oczach rozbłysnął ogień, gdy jej szyja i ramiona pokryły się gęsią skórą.

– Całkiem aseksualna – mruknął chrapliwie.

Coś w jego głosie spowodowało, że zmarszczyła brwi jeszcze mocniej, choć wiedziała już, że to go nie powstrzyma, tylko wzmocni płomień jego szarego spojrzenia.

– Czego ode mnie chcesz? – spytała głosem niewiele głośniejszym od szeptu.

Pomyślała, że cokolwiek miało się zaraz wydarzyć, do końca życia zapamięta sposób, w jaki się do niej uśmiechnął: obnażone zęby półczłowieka, półwilka.

– To, czego chcę od ciebie, Czerwony Kapturku, to noc poślubna.

Jej gardło zdawało się zbyt suche, by mogła mówić.

– Masz na myśli...?

– Dokładnie to, o czym myślisz. Ze wszystkimi związanymi z tym rytuałami.

Nigdy nie czuła się tak mała, tak delikatna. I tak głupia.

Dominik wolną ręką pogładził jej włosy, a następnie położył ją na jej karku.

Miała wrażenie, jakby coś w niej załkało.

A może to była ona.

– Znajdź jakiś próg, a cię przez niego przeniosę – kontynuował swym niskim, głębokim głosem. Patrzył na nią tak zaborczo, że było to wręcz bolesne. – Położę cię na łóżku i zacznę całować. Zobaczymy, dokąd nas to zaprowadzi. Wszystko, czego od ciebie oczekuję, to obietnica, że nie będziesz mi mówiła, co lubisz, a czego nie lubisz, dopóki tego nie spróbujesz. To wszystko. Powiedz, co masz do stracenia?

Nie powiedziała nic, bo wszystko, co mogła stracić, sprowadzało się do jednej rzeczy: jej samej. I była pewna, że jej to odbierze, tak czy inaczej.

Odbierze jej absolutnie wszystko.

Może wiedziała już o tym od pierwszego momentu, gdy pośrodku lasu, na odosobnionej polanie z cienia wyłonił się mężczyzna. Wtedy też

sprowokował ją po raz pierwszy, szeptał do niej mroczne tajemnice, których nie chciała znać.

Może to wszystko prowadziło nieuchronnie do tego momentu.

Gorejąca od ciepła jego dłoni, wstrząsana dreszczem, nie potrafiła się temu przeciwstawić tak, jak powinna.

Powinna była natychmiast wstać z kolan. Powinna odsunąć się od zagrożenia. Powinna była powiedzieć Dominikowi, że nie obchodzi jej, co pocznie z odzyskanym nazwiskiem i fortuną, po czym zadzwonić do Mattea i wyjaśnić, że nie zamierza wychodzić za mąż za nieznajomego w ramach obowiązków służbowych.

Nie tylko powinna: chciała zrobić wszystkie te rzeczy.

Zamiast tego dygotała. I w tym momencie, klęcząc u jego stóp pod ciężarem jego skupionego spojrzenia, poddała się.

Jeśli kapitulacja była skarpą, ona rzuciła się z niej prosto w otchłań. Jednak poddanie się Dominikowi nie przypominało spadania wprost na ostre skały. Przypominało raczej latanie.

– Dam ci tę noc poślubną – usłyszała swój własny głos, brzmiący poważnie i rzeczowo, jakby w ten sposób maskowała kapitulację. – I nic więcej.

– Poczekalbym z takimi deklaracjami, aż spędzimy ze sobą rzeczoną noc – odparł głosem lekko zabarwionym śmiechem. – Może się okazać, że zapragniesz miesiąca miodowego. Może cię to zdziwi, ale wiele kobiet bardzo chciałoby spędzić trochę czasu w moim łóżku.

Noce poślubne. Miesiące miodowe. To wszystko jakaś farsa.

– Wiesz, że prawdziwe oświadczyzny nie mogą się obyć bez pocałunku, Lauren – powiedział gburowato.

– Nie wystarczy ci, że obiecałam ci noc poślubną? – spytała. Kiedyś przejęłaby się tym, że jej głos się łamał. Nie przestając klękać, uniosła się

wyżej, dłonie oparła na jego gorących udach. Nie mogła się zdecydować, czy była teraz bezsilna, czy, co bardziej niepokojące, wreszcie poczuła, że żyje.

– Pocałuj mnie, Czerwony Kapturku. Zrób to teraz, bo inaczej zranisz moje uczucia – ponaglał.

– Nie rozumiem, dlaczego chcesz się całować z kimś, kto sobie tego nie życzy – rzuciła w desperacji.

– Nigdy bym tego nie chciał. – Jego szare oczy kpiły sobie z niej. – Ale ten opis nie pasuje do żadnego z nas, czyż nie?

– Jedno z nas działa pod przymusem.

– Jedno z nas kłamie.

Poczuła wstępujące na policzki ciepło i pojęła, że się rumieni. Co gorsze, pojęła również, że on ma rację. I widzi to dokładnie wymalowane na jej twarzy.

Nie wiedziała, co robić.

W panice zaczęła go naśladować. Jedną ręką objęła twardą kolumnę jego szyi i przyciągnęła jego wargi do swoich.

Ten mężczyzna zgodził się poślubić ją dla picu. W żadnym wypadku pocałunek z nim nie powinien jej tak rozpalić, a jednak była jak beczka prochu na moment przed eksplozją. W połączeniu ich ust była żądza, były zatracenie i tęsknota, wszystko to splecione razem w węzeł.

Już niemal zdążyła się do tego przyzwyczaić. Deliryczny zjazd, olśniewający płomień, wargi przytulone do warg.

Pozwolił jej się pocałować, oddał jej kontrolę, pozwolił się wedrzeć do wnętrza swych ust. A przez cały czas wmawiała sobie, że jej się to nie podoba, że tego nie pragnie.

Kłamała.

Pewnie właśnie dlatego, gdy jego dłonie powędrowały po równinach jej pleców, jęknęła pod tym doznaniem, zamiast z nim walczyć. Gdy wyciągał końce jej bluzki wsunięte w spodnie, wydała z siebie głęboki dźwięk rozkoszy, zatracona w raju jego ust.

Wtedy właśnie ręka wylądowała na jej nagiej skórze, po czym zacisnęła się na wzniesieniu piersi. Wzrok ją zawodził, świat zaczął się rozmazywać na krawędziach.

Pierś jej zdawała się nabrzmiwać, wypełniając jego dłoń.

Czuła każdy ruch jego dłoni.

Drugą rękę wsunął jej we włosy, podtrzymywał tył jej głowy, przejmował kontrolę nad pocałunkiem.

Gdy wreszcie odsunął się od niej z okrutnym śmiechem, myślała, że umrze.

Nagle śmierć stała się całkiem atrakcyjną alternatywą wobec położenia, w jakim się znajdowała.

Kłęczała rozczochrana i obnażona na podłodze biura, wpatrzona w mężczyznę, który doprowadził ją do takiego stanu.

Spodziewała się, że zacznie znów ją prowokować. Że z niej zadrwi. Nazwie kłamczuchą. On jednak milczał, szary wzrok nieustannie wlepiął w jej twarz.

Uniosła palce do ust, choć wiedziała, że ten gest będzie przyznaniem się do słabości. Nie była pewna, jak przez tyle lat nie zdołała poznać, że jej własne ciało może zostać wykorzystane przeciwko niej.

– Firma utrzymuje niewielką liczbę pokoi gościnnych dla pracowników w tym budynku – powiedziała, gdy już zdołała odzyskać nad sobą nieco panowania. Brzmiała jednak obco. Zupełnie, jakby odtworzyła nagrany głos kobiety, która opuściła to biuro, by polecieć na Węgry. Nie miała pewności,

czy nadal mogła nawiązać kontakt z tą kobietą. Ani pewności, co się z nią stało.

Podniosła się z podłogi, desperacko chwytając się strzępków godności. Po raz pierwszy w życiu przeklinała fakt, że założyła tak niepraktyczne szpilki na wysokich obcasach, przez co, nawet gdy stała, nie potrafiła zachować równowagi.

Tak, usłyszała swój wewnętrzny głos. Obwiniaj buty. Niewątpliwie to ich sprawka.

– Pokoje dla pracowników – powtórzył za nią po dłuższej chwili, nie odrywając od niej wzroku. – Brzmi... sterylnie.

Gdy jednak zadzwoniła do ochrony i kazała jednemu ze stróżów przyjść na górę i odeskortować go tam, nie zaprotestował.

Wreszcie, gdy została sama, powiedziała sobie, że podoba jej się tu bez niego. Wcale nie zostawił po sobie dojmującej pustki. Miała więcej przestrzeni dla siebie.

Gdy się upewniła, że nikt jej nie widzi, opadła na fotel za biurkiem. To było jej miejsce, tu właśnie czuła się najbardziej kompetentna. Nie było nikogo, kto mógłby zobaczyć, jak zakrywa twarz dłońmi i pozwala wreszcie wypłynąć wszystkim tym emocjom, do których się nie przyznawała.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Do rana zdążyła poskładać się do kupy. Wczorajsze łązy musiały przydarzyć się komuś innemu, komuś dużo bardziej kruchemu, niż Lauren kiedykolwiek była. Wzięła prysznic w apartamencie menedżerskim, spłukując z wodą resztki emocji i długiego dnia. Następnie przebrała się w zapasową sukienkę, którą trzymała w biurze właśnie na takie okazje.

Cóż, może nie dokładnie takie, jak ta. Nie codziennie planuje swoje wesele. Gdyby mogła, założyłaby swe najwyższe, najbardziej niepraktyczne szpilki w ramach manifestacji.

Starła się w ogóle nie myśleć o wątpliwych umowach, jakie zawarła z dziwnym mężczyzną znalezionym w środku lasu.

Zapukała energicznie do jego drzwi punktualnie o wpół do ósmej. Była świadoma, że nie może oczekiwać odpowiedzi. Człowiek tak nieokiełznany jak Dominik mógł przecież wymknąć się w nocy jak bezpański kot i...

Drzwi się otwarły. Stał w nich Dominik, ubrany jedynie w parę spodni wiszących mu nisko na biodrach.

Przez trudną do określenia chwilę – możliwe, że trwała nawet godzinę – Lauren tkwiła bez ruchu, nie mogąc oderwać wzroku od rozległej powierzchni jego obnażonego ciała.

– Wyobrażałaś sobie pewnie, że ucieknę pod osłoną nocy? – spytał, ponownie odczytując bez pudła jej myśli. Tym razem jednak nie to było dla niej głównym powodem do wstydu. Starła się przestać gapić na tę

zniewalającą prezentację muskularnego, męskiego ciała. – Oczywiście, mogłem to zrobić, jednak coś mnie powstrzymało.

Podążyła za nim do apartamentu, krótkim korytarzem do wydajnie zaprojektowanej kuchni rozświetlonej letnim porankiem.

– Masz na myśli strażników?

Obszedł mały stół i spojrzał na nią znad mocnej, czarnej kawy.

– Nie. Po prostu dałem ci słowo.

Lauren może i wczoraj uległa doznaniom i emocjom, ale przyszedł już czas, by z tym skończyć. Dlatego odchrząknęła i pokazała mu tablet, który przyniosła.

– Wszystko już zaplanowałam – powiedziała, w pełni zdając sobie sprawę, jak dziwnie to zabrzmie. – Wyjdę za ciebie za godzinę.

Choć rysy twarzy Dominika nie drgnęły, nie mogła się opędzić od poczucia, że się z niej śmieje.

– Nie wybrałem jeszcze sukienki na tę okazję – wycedził.

– Książdz jest przyjacielem rodziny Combe – kontynuowała, zupełnie jakby w ogóle go nie słyszała. Nie chciała się też dać wciągnąć w rozmowę o jej ubraniu. Miała na sobie prosty kostium, idealny do pracy w biurze. Ujdzie też na lipnym ślubie. – Pozwoliłam sobie powiedzieć mu, że łączy nas głęboka i trwała miłość, która wymaga jak najszybszego usankcjonowania, więc dobrze by było, gdybyś tego nie kwestionował.

– Nie zamierzałem niczego kwestionować – odparł Dominik swym ciemnym, pogardliwym głosem, który niemal ją sparzył. – W końcu jestem tylko prostym, samotnym pustelnikiem, pozbawionym jakiejkolwiek wartości. Wykonuję jednak rozkazy arystokraty, który nawet nie zada sobie trudu, by uczestniczyć w lipnym ślubie, na który osobiście nalegał. Wprost nie mogę ustać w miejscu z radości z faktu, że ja także będę mógł służyć

twemu odległemu panu. Zaprawdę, o takiej właśnie rodzinie marzyłem podczas mojego dzieciństwa spędzonego w sierocińcu.

Radość zademonstrował, unosząc lekko kącik ust. Dla Lauren było to jak cios w splot słoneczny.

– Z tego wszystkiego to właśnie romantyzm tej całej sytuacji sprawia, że moje serce bije szybciej, Czerwony Kapturku – kontynuował, brzmiąc niemal wesoło. Nie mogła jednak nie zauważyć jego twardego jak stal spojrzenia. – Jeśli się wsłuchasz, jestem pewien, że je usłyszysz.

Lauren położyła tablet na marmurowym blacie gwałtownym ruchem. Nie odrywała jednak wzroku od Dominika, zupełnie, jakby naprawdę był jakimś wilkiem, a chwila nieuwagi doprowadziłaby do jej śmierci.

Nie słyszała bicia jego serca. Dudnienie wprawiające pobliskie ściany w drżenie wydobywało się z jej własnej piersi.

– Mógłbyś potraktować to poważnie? – zażądała. – A przynajmniej spróbować?

Badał ją przez chwilę spojrzeniem, po czym uniósł kubek kawy do ust i pociągnął głęboki łyk.

– Nie uciekłem stąd tej nocy, choć zapewniam cię, że mógłbym to zrobić, gdybym tylko chciał, niezależnie od starań waszej żalosnej ochrony. Podczas gdy my odbywamy ze sobą tę rozmowę, gdzieś tam ksiądz pędzi ku nam na złamanie karku, by udzielić nam ślubu. Bardziej poważnie traktować tej sytuacji po prostu nie jestem w stanie.

– Zgodziłeś się na to. Wielokrotnie. Z kolei nie jestem pewna, czy ja godziłam się na takie... komentarze.

Nie spodziewała się teraz jego uśmiechu, błyszczącego i dzikiego.

– Uwierz mi, Lauren, istnieje wiele rzeczy, na które będziesz się musiała dziś zgodzić.

– Już się zgodziłam – przypomniała mu z większą zaciekłością, niż powinna. Zawsze w pełni się kontrolowała, przez co nigdy nie nauczyła się odzyskiwać kontroli nad sobą, gdy ktoś wybił ją z równowagi. – Wystarczy już tych insynuacji.

– Ty się zgodziłaś? Myślałem, że to ja tu muszę się godzić na wszystko. Jestem jak pies na łańcuchu. – Głos miał łagodny. Wzrok... wręcz przeciwnie.

– Zażądałeś nocy poślubnej – przypomniała mu, starając się jednocześnie uspokoić łomoczące serce. – Wiesz też, że dotrzymuję obietnic. Za każdym razem, gdy chciałeś, bym cię pocałowała, robiłam to.

– Ktoś mógłby powiedzieć, że poddawałaś się temu z nieskrywanym entuzjazmem. Musiałaś się tylko rozkręcić.

– Chodzi mi o to... – wycodziła przez zęby, niezupełnie pewna, dlaczego nagle zrobiła się taka wściekła – ...że możesz już sobie darować te na wpół zawołowane nawiązania czy eufemizmy. Zażądałeś seksu w zamian za ślub, a ja się zgodziłam. Tyle.

Było to proste przedstawienie faktów, pomyślała. Nie miał powodu posyłać jej tak oburzonego spojrzenia.

– Jeśli jest to dla ciebie aż tak wstrętne, to nie rób tego. – Jego głos był zbyt miękki. Za bardzo jedwabisty. Słyszała wyłącznie szalejące ze wściekłości półtony.

– „Nie rób tego”? – powtórzyła. – To w ogóle była taka opcja?

– Widzę, że jesteś zajęta taplaniem się w niesprawiedliwości, jaka cię spotkała. Spróbuj sobie jednak przypomnieć, że to nie ja wytropiłem cię w środku lasu. Nie ja zawlokłem cię do Anglii. Jeśli chcę pchać się w to lipne małżeństwo dla samej rozkoszy nocy poślubnej z tobą, to jest to mój problem. – W charakterystyczny dla siebie sposób przechylił głowę

w bok. – Ty zaś może powinnaś zadać sobie pytanie, co jeszcze jesteś w stanie zrobić dla wypłaty.

– To trochę bardziej skomplikowane.

– Czyżby? Może warto się zastanowić, czego nie zrobiłabyś, gdyby cię o to poprosił pan Combe. Odpowiedź może cię zaskoczyć.

– Ty może lubisz wyłącznie swoje towarzystwo. – Lauren nie wiedziała, skąd w niej tyle furii ani dlaczego koniecznie chce się na nim wyładować. – Ale niektórzy ludzie wolą być w zespole.

– W zespole, który obecnie rozkoszuje się wakacjami na australijskiej plaży? A może tym, który zostawił cię z listą instrukcji, jak okiełznać brata poprzez chwalebna instytucję małżeństwa? – Skrzywił się. – Brawo wy! Co za wspaniała gra zespołowa.

Rozbolała ją szczeka i zdała sobie sprawę, że zaciska zęby.

– Zgodziłeś się.

– Owszem. Tak jak i ty. Czy o to chodzi, Czerwony Kapturku? Aż tak się boisz tego, co mi obiecałeś?

Wybiło ją to całkowicie z rytmu, zupełnie jakby się potknęła i uderzyła o ziemię.

– A jakie to ma znaczenie, czy się tego obawiam, czy nie? – Poniewczasie zdała sobie sprawę, że równie dobrze mogłaby się przyznać. – A czy to zmieniliby twoją decyzję?

– Raczej zmieniliby moje podejście. Albo i nie.

– Niemniej, gratulacje! Masz co świętować! Niedługo będziesz miał żonę, a wkrótce potem: złożoną ofiarę z dziewicy, zupełnie tak, jak to opisywano w książkach historycznych.

Roześmiał się śmiechem donośnym i głębokim, mocniejszym, gdy się skrzywiła.

– Myślisz, że jesteś w stanie mnie zawstydzić? Jest wielu mężczyzn, którzy stojąc przed tobą, gromiliby, jak to nie cierpią męczenniczek w sypialni, ale ja do nich nie należę.

– Jakoś mnie to nie dziwi.

Dominik nawet się nie poruszył, ale Lauren i tak czuła, jakby ją osaczał. Zupełnie, jakby jego ręce zaciskały się na jej gardle.

– Nie ja cię przerażam – powiedział cicho z taką pewnością, że poczuła dreszcze. – Boisz się samej siebie. I wszystkich uczuć, których, jak sobie wmówiłaś, nie znasz. – Na twarzy nadal miał ślady niedawnego śmiechu, ale spojrzeniem przyszpilał ją do podłogi. – Boisz się, że obudzisz się jutro z przekonaniem, że nie masz pojęcia, kim jesteś.

– Albo obudzę się znudzona, jak teraz.

– Tak, kompletnie znudzona – odparł i zaśmiał się ponownie. Pochylił się nad znajdującym się między nimi blatem, opierając o niego łokcie. Nie mogła udawać, że nie zauważa napiętych mięśni i opinającej je gładkiej, męskiej skóry, którą niewątpliwie wystawiał na działanie słońca. – Powiedz mi, Lauren: czy robisz się mokra z nudów?

Z początku nie zrozumiała pytania.

Potem do niej dotarło i zalała ją fala rumieńca. Nikt jeszcze tak się do niej nie zwracał. Nawet nie sądziła, że ludzie naprawdę rozmawiali o takich rzeczach w trakcie dnia. Wmawiała sobie, że jest przerażona. I obrzydzona.

– Masz dwadzieścia minut – powiedziała, gdy odzyskała kontrolę nad głosem. – Liczę, że będziesz gotów.

– Uznam to za potwierdzenie – wymamrotał do niej, zdecydowanie zbyt męski i zbyt pewny siebie. – Jesteś tak mokra, że lewie jesteś zdolna stać na nogach. Nie martw się, Czerwony Kapturku. Nie wiesz, co powinnaś z tym zrobić, ale ja wiem to doskonale.

Wyprostował się i obszedł blat. Lauren napięła mięśnie, gotując się na napaść – po czym z ulgą, która jednocześnie ją ubodła, stwierdziła, że nie zbliżył się do niej. Zamiast tego minął ją i ruszył ku sypialni z łazienką.

– Możesz dołączyć do mnie pod prysznicem – rzucił przez ramię. Nie musiała widzieć jego twarzy, by wiedzieć, że się z niej śmieje. – Oczywiście, jeżeli się odważysz.

Stała nieruchomo dokładnie tam, gdzie ją zostawił. Usłyszała włączony natrysk. Trwała tak, przy skraju blatu, z dłońmi zaciśniętymi w pięści tak mocno, że paznokcie wbijały jej się w ciało.

Zmusiła się do rozluźnienia palców i do kilku głębokich wdechów, tak by gniew ją opuścił.

Po chwili zobaczyła, co się pod nim kryło.

Ponownie Dominik miał rację. Był to strach. Nie przed nim, tylko przed samą sobą. I przed pragnieniem sprawdzenia, co takiego przez ten cały czas ją omijało.

Zawsze była dumna z tego, że nie odczuwa rzeczy, tak jak inni ludzie. Gratulowała sobie, że omijają ją rozliczne emocjonalne trzęsawiska. Ułatwiało jej to też pracę w korporacji.

Ale Dominik zmusił ją do stawienia czoła prawdzie, że była zdolna do odczuwania wszystkich emocji, po prostu... nie robiła tego.

Już dawno wmówiła sobie, że nie potrzebuje tego, czego nigdy nie czuła bądź nie miała. Na przykład miłości rodziców, szczęśliwej rodziny, romantycznych i seksualnych związków i uniesień, w które ciągle wklęali się jej przyjaciele i współpracownicy. Gdy ktoś o to pytał, tłumaczyła, że nie jest stworzona do tego typu związków.

Sekretnie zawsze wierzyła, że jest ponad to. Ponad ten cały emocjonalny bałagan.

Wystarczył jednak jeden dzień całowania się z Dominikiem Jamesem, by musiała się zastanowić, czy to aby nie jest raczej kwestia spotkania kogoś, kto byłby w stanie te emocje w niej wykrzesać. Czy to nie czyniło jej odartą z doświadczeń? Niezmienną jak mucha zatopiona w bursztynie? Nie podobała jej się ta perspektywa. Starła się udawać, że nie dostrzega, jak się trzęsie.

Nagle przyszła jej do głowy iście rewolucyjna myśl. Skoro i tak miała poślubić tego mężczyznę i pozostać jego żoną tak długo, aż oczy paparazzich skierują się na jakiś inny rodzinny skandal, to czy nie powinna potraktować tego jak okazji do wykorzystania?

Wiedziała, że dzięki Dominikowi jest w stanie doświadczać emocji, których nigdy nie znała. Owszem, przytłaczało ją to, szczególnie gdy była przez całe życie przekonana, że nie jest zdolna do przeżywania podobnych doznań. Nigdy jednak nie pomyślała, że może miała problemy z emocjami, bo nikt jej nigdy nie chciał, a w szczególności ci, którzy powinni kochać ją najmocniej.

Nie wiedziała, czemu Dominik uprawia wobec niej swe gierki. Niemniej to robił. Dlaczego miałyby na tym nie skorzystać?

Lauren poczekała, aż wyjdzie z sypialni, ubrany w czysty, ciemny garnitur, tak starannie wykonany, że aż ją to zaskoczyło. Uczesał włosy, odciągając je z twarzy na boki. Nawet się ogolił, demonstrując swą męską szczękę. Prezentował się dokładnie tak, jak powinien wyglądać najstarszy potomek rodziny San Giacomo. Nie mogła się jednak skupiać na emanującej od niego niekwestionowanej męskiej urodzie, gdyż wiedziała, że jeśli teraz nie powie tego, co postanowiła, to już się na to nie odważy.

– Dam ci noc poślubną – powiedziała.

– Chyba to już ustaliliśmy – powiedział jedwabistym głosem, który tak na nią działał. – Czy to próba renegotjacji warunków umowy?

– Nie mam nic przeciwko, jeśli nie będzie to jedyna nasza noc – zmusiła się do wyartykułowania tego, choć zrobiło jej się słabo, szczególnie gdy skończył zapinać mankiety i skupił całą uwagę na niej. – Chcę się uczyć.

– Uczyć czego?

– Wszyscy uprawiają seks – powiedziała zbyt rozemocjonowanym głosem. Wyrzucała z siebie słowa jak pociski. – Ludzie są wręcz nim całkowicie pochłonięci, a ja chcę wiedzieć, dlaczego. I nie chodzi mi tylko o to, że oddam ci moje dziewictwo, choć do tego dojdzie. Nie mam nic przeciwko.

– To miło – rzucił sucho, choć jego oczy błyszczały tak intensywnie, że nie była w stanie odwrócić wzroku. – Nikt nie lubi braku entuzjazmu przy defloracji. Zostawiając na boku metafory ogrodnicze, to nie jest wcale taka zabawna sprawa. Każdy, kto powie ci inaczej, nigdy nie zaznał tej rozkoszy. Ani żadnej innej rozkoszy, jak sądzę.

– Nie mam bladego pojęcia, o czym do mnie mówisz. – Wydał się tym jeszcze bardziej zaskoczony tą deklaracją. – Chcę zrozumieć, dlaczego ludzie tego pragną. O co w tym wszystkim chodzi. Czemu inni, włączając w to ciebie, uważają, że coś ze mną jest nie w porządku, ilekroć mówię, że mnie to nie interesuje. Czy dasz radę mnie tego nauczyć, Dominiku?

Być może to był pierwszy raz, gdy zwróciła się do niego po imieniu. Pewności oczywiście nie miała, ale po jego reakcji wywnioskowała, że go to zaskoczyło.

– Większość życia spędziłam, nie rozumiejąc otaczających mnie ludzi. – Wiedziała, że później będzie się tym strasznie zamartwiać. Głos jej się łamał. Otworzyła się przed nim. Mówiła więcej, niż chciała. – Nie rozumiałam dowcipów. Ani rzucanych aluzji. Chcę się wreszcie dowiedzieć, czym jest ten wielki sekret. O czym traktuje tyle piosenek.

Chcę wiedzieć, przed czym rodzice z uporem godnym lepszej sprawy chronią swoje dzieci. Chcę wiedzieć to wszystko.

– Lauren...

Nie poznawała obecnego wyrazu jego twarzy. Gdzieś zniknęły kpina i pogardliwy blask w szarych oczach. Brakowało teatralności, groźby, wyzwania.

Panicznie się bała, że jego reakcja była litością. Wątpiła, czy byłaby w stanie to przeżyć.

– Wiem, że dla ciebie to wszystko jest grą – stwierdziła pośpiesznie w strachu, że to, co powie, ją zniszczy. – Może masz swoje mroczne powody, by robić to, czego chce pan Combe. Nie winię cię za to. Relacje rodzinne są wystarczająco skomplikowane, gdy zna się bliskich całe życie. Powiedziałeś jednak, że są pewne rzeczy między nami. Chcę, by to do nich należało.

Wyprostował się. Nadal nie potrafiła odczytać jego mimiki. Zmieniło się jednak światło w jego oczach. Wyciągnął do niej dłoń.

Kusiło ją, by uwierzyć, że w tym właśnie momencie patrzył na nią z życzliwością. Nie rozumiała, dlaczego miała ochotę się przez to rozplakać ani jak udało jej się przed tym powstrzymać, gdy nagle jej wzrok stał się rozmazany.

– Chodź – powiedział Dominik głosem tak pewnym, jakby już recytował słowa przysięgi przed kapłanem. Przysięgi prawdziwej, takiej, w której słowa naprawdę wierzył. – Wyjdź za mnie, Czerwony Kapturku, a ja cię wszystkiego nauczę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Gdy z perspektywy czasu patrzył na minione wydarzenia i katalogował popełnione przez siebie błędy, Dominik uznał, że wszystkie one prowadziły do owej fatalnej decyzji, by wyjść z chatki i poczekać na przybycie Angielki, o przybyciu której telefonicznie ostrzegł go oberżysta.

Wtedy wydawało mu się to nieszkodliwe. Nikt go nigdy nie odwiedzał. Nie miał pojęcia, co przyniesie zaspokojenie ciekawości kobiety, która jakimś cudem go odszukała. Był jej ciekaw, szczególnie, gdy już ją zobaczył. Złotowłosa dziewczyna w czerwonym płaszczu.

Skąd mógł wiedzieć, do czego to doprowadzi?

Teraz znajdował się w dostojnym, rozległym i wyniosłym domostwie, którego szczerze nie znosił, a winić za to mógł wyłącznie siebie samego. Combe Manor stał na wysokim wzgórzu ponad wioską Yorkshire, której młyny zapewniły rodzinie Combe'ów przepustkę do świata władzy i bogactwa. Zbudowali Combe Manor i założyli Combe Industries. Dominik również zaczynał skromnie, ale on postanowił zachomikować majątek i zamieszkać samotnie w lesie.

Czuł się jak hochsztapler. Może i łączyły go więzy krwi z odległym arystokratą, którego nie tak dawno widział na ekranie, ale na pewno nie poczuwał się do... tego. Do starych posiadłości wypełnionych antykami i sztuką, opowiadających o dwustu latach gromadzenia nadmiernego bogactwa. Całe pokolenia ludzi stały w miejscu, w którym teraz stał,

i patrzyły z tego samego okna biblioteki na wieś, gdzie swego czasu ludzie zaharowywali się, by wypełnić skarbiec Combe'ów.

Miał przy tym świadomość, że rodzina Combe'ów była nuworyszami w porównaniu z San Giacomo. Dominik może i był z nimi spokrewniony, ale był sierotą. Dzieckiem ulicy walczącym o jedzenie, odzież i miejsce do spania. Żołnierzem wykonującym rozkazy, który nieraz znajdował się w sytuacjach, o których nie wspominał w obecności cywili.

Czym były więzy krwi w porównaniu do życia, jakie przeżył?

Obrócił się, gdy usłyszał stukot zdecydowanie zbyt wysokich obcasów o podłogę.

Niesamowite, że ta blondynka o błyszczących włosach i pięknej, nieufnej twarzy była jego żoną.

Jego żoną.

Sama ceremonia, zgodnie z oczekiwaniami, przebiegła gładko. Ksiądz przybył punktualnie, przysięgi złożyli sobie w pięknej sali konferencyjnej na wyższym piętrze siedziby międzynarodowej firmy jego brata. Lauren zorganizowała obrączki, udowadniając, że faktycznie o wszystkim pomyślała, wymienili je i tak dopełnili rytuału.

Dominik nie był impulsywnym człowiekiem. Jednak nie powstrzymało go to przed poślubieniem kobiety z jakiegoś kretyńskiego powodu.

Miał nawet problem z przypomnieniem sobie, co to był za powód, bo potrafił teraz myśleć tylko o Lauren. A konkretniej, o pomaganiu jej przy zdejmowaniu jej komicznych szpilek, uwalnianiu jej krągłości z okowów stroju i wreszcie – wreszcie! – zaspokajaniu swego pożądania wobec niej, które nie dawało mu żyć, od kiedy ujrzał ją po raz pierwszy.

Nie było wesela. Lauren musiała wrócić do biura, gdzie czekało na nią wiele godzin pracy. Potem zagoniła go do eleganckiej, czarnej limuzyny. Na lotnisku wsiedli do znanego mu już samolotu i po krótkim locie

wylądowali na północy Anglii. Kolejna przejażdżka z lotniska i oto trafili do tego starego mauzoleum wzniesionego, by zaspokoić pychę tego rodzaju ludzi, których szczerze nie znosił.

Nigdy nie przyszło mu do głowy, że może być jednym z nich. Nigdy nie chciał być jednym z nich. Odkrycie, że jest dokładnie tym, czym najbardziej gardził, nie poprawiło mu humoru. Nie mógł przecież wymazać dotychczasowego życia, tylko dlatego że zaoferowano mu tożsamość, która nic dla niego nie znaczyła.

Wszystko to jednak schodziło na dalszy plan, gdy ta kobieta – jego żona – stanęła przed nim.

– Rozmawiałam właśnie z panem Combe'em – zaczęła, gdyż, oczywiście, rzuciła się w wir pracy zaraz po przyjeździe na miejsce. Ucieszyła go okazja do zadania samemu sobie pytania, co, do diabła, miał tu robić, gdy ona dzwoniła i odpowiadała na mejle.

– Wyświadczyć mi przysługę, proszę – powiedział głosem bardziej chrapliwym, niż zamierzał. A może właśnie taki był odpowiedni, pomyślał, gdy spojrzała na niego szeroko otwartymi oczyma. – To nasza noc poślubna. Mamy wiele rzeczy do zrobienia. Czemu nie zostawimy pana Combe'a tam, gdzie jego miejsce: po drugiej stronie planety, by sam zrobił to, co od ciebie wymaga pięciokrotnie więcej zachodu?

Spodziewał się, że zaprotestuje.

Ona jednak go zaskoczyła.

Wytrzymała jego spojrzenie, złożyła dłonie przed sobą i przechyliła główkę, tak jak lubił.

Ten sam demon, który podkusił go do wyjścia z werandy na polanę i rozpoczęcia całej tej historii, znów w niego wstąpił, wyraźnie nieonieśmielony wspaniałą biblioteką i ogromnym domostwem.

– Cóż to? – spytał cicho. – Czy tylko tyle wystarczyło, by cię okiełznać, Czerwony Kapturku? Obrączka na palcu i kilka przysięg złożonych przed kapłanem? Tylko tyle trzeba było, żebyś się stała łagodna? Uległa? Posłuszna?

Wydała z siebie dźwięk, który równie dobrze mógł być kaszlem, co śmiechem.

– Nie jestem pewna, czy określiłabym się którymkolwiek z tych słów, niezależnie od biżuterii na moim palcu. Ale zgodziłam się na noc poślubną... i wszystko inne. I jestem zdecydowana przez to przebrnąć.

– Potrafisz to atrakcyjnie przedstawić. – Wpatrywał się w nią. Sam nie wiedział, czy szukał oznak słabości, czy też szczególnie wrażliwych obszarów jej ciała. – Trochę łagodności ci nie zaszkodzi. Uległość osłodzi to zarówno tobie, jak i mnie, a posłuszeństwo, cóż...

Z rozkoszą patrzył, jak zadrżała, a na jej ramiona wstąpiła gęsia skórka.

Stwardniał tak, że niemal go to bolało.

Znalazłszy się naprzeciwko niej, szedł dalej, krążąc dookoła niej, jakby była gablotą aukcyjną, on zaś kupującym.

– Poprosiłam cię, żebyś mnie czegoś nauczył. – Czuł w jej głosie zdenerwowanie. – Czy to się wiąże z kolejną dozą poniżenia, czy też postanowiłeś dodać to od siebie?

– Oto moja lekcja dla ciebie, Lauren: dlaczego nie przestaniesz kwestionować mojej dominacji?

Zakończył obchód dookoła niej i stanął przed nią raz jeszcze. Rozkoszował się wyrazem jej twarzy: nieufność przemieszana z oczekiwaniem, wszystko na tle różowego rumieńca. Do tego pełne napięcia oczekiwanie w jej oczach koloru karmelu. Niewątpliwie była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział. I należała do niego.

– Czego sobie zatem życzysz? – spytała najdelikatniejszym głosem, jaki słyszał.

Przesunął dłonią po jej błyszczących włosach, cały czas związanych w kucyk. Uważał jej kucyk za element jej umocnień. A nie zamierzał pozwolić, by jakiegokolwiek mury oddzielały go od niej. Nie tej nocy.

– Czas się zabawić w Roszpunkę – powiedział. Gdy spojrzała na niego bez zrozumienia, szarpnął ją za kucyk, dość mocno, by wydała z siebie jęk. – Rozpuść włosy, Czerwony Kapturku.

Patrzył, jak puls na jej szyi szaleńczo przyspiesza. Jej rumieniec stał się bardziej intensywny, zdawało mu się też, że wstrzymała oddech.

Jednocześnie była wobec niego posłuszna. Sięgnęła po gumkę do włosów i uwolniła swoje fale. Następnie wolną ręką przeczesła ich gęszcz, rozrzucając gęste złoto na wszystkie strony i rozsiewając zapach jabłek.

Wydał z siebie niski, dudniący odgłos aprobaty. Z uwolnionymi włosami wyglądała bowiem inaczej. Mniej oficjalnie. Mniej elegancko. Zdawała się dużo bardziej dostępna, a fale spływające po jej ramionach nadawały jej wręcz romantyczny wygląd.

Pamiętał o tym, co jej obiecał. Żądza drażyła go coraz bardziej więc po prostu nachylił się nad nią i porwał ją w swe ramiona. Niósł ją wysoko, przyciskając do piersi. Po chwili objęła ramionami jego szyję.

Olbrzymie, teatralne schody dominowały w holu. Trzymał się lewej strony i ruszył do góry.

– Och, pokoje gościnne są akurat... – zaczęła, marszcząc brwi tak, jak lubił.

– A jest tu ktoś jeszcze? – uciął.

Znał odpowiedź.

Powiedziała mu, że dom jest pusty, gdy tylko wylądowali w Yorkshire. Przekazała mu wtedy wiele informacji o domu, gruntach, wiosce, odległych

wrzosowiskach i górach – tak jakby wierzyła, że dziś interesowało go zwiedzanie i historia rodziny Combe’ów.

– Jak wiesz, pan Combe jest teraz w Australii, a jego siostra, Pia... – urwała, po czym spojrzała mu w oczy. – Cóż, jest też oczywiście twoją siostrą. Obecnie przebywa w królestwie Atilii.

– Na wyspie.

– Tak. W zasadzie, to kilkanaście wysp na Morzu Jońskim...

– Nie interesuje mnie to. – Faktycznie, nie dbał o Mattea czy Pię Combe, ani o nic poza kobietą w jego ramionach. – Ile jest łóżek w tym domu?

– Piętnaście. – odparła.

– Nie bój się, Lauren. Zamierzam ochrzcić je wszystkie.

Otworzył pierwsze drzwi, na jakie natrafił, niosąc ją przez rozległy salon prowadzący ostatecznie do sypialni z olbrzymim łóżem z baldachimem.

Postawił ją na podłodze przy łóżku i uśmiechnął szerzej, gdy próbowała złapać równowagę.

– Te buty kiedyś cię zabiją. Bo dobrze rozumiem, że to one, nie coś zupełnie innego, wytrąciły cię z równowagi?

Posłała mu wrogie spojrzenie, ale nic nie powiedziała. Sięgnęła ku stópce, odpięła paseczek na delikatnej kostce i ruchem nogi zrzuciła bucik. Powtórzyła to samo z drugą nogą i momentalnie zmaląła o trzydzieści centymetrów.

Potem z uśmiechem uniosła ku niemu wzrok pełen wyzwania, ale i ostrożności.

– Nie sądziłam, że przekomarzanie się jest w pakiecie. Myślałam, że, no wiesz, od razu zabierzesz się do rzeczy. Bez gadania.

– Tyle to dostałabyś od partnera poznanego w pierwszym lepszym pubie.

Zsunął z siebie marynarkę od garnituru, w której chodził cały dzień, jak tresowana małpa. Zauważył, jak nie może oderwać wzroku od jego ramion.

– Dlaczego nie spróbowałaś?

Zaczął rozpinąć guziki, jeden po drugim. Jej wzrok podążał za każdym ruchem jego dłoni.

– Słucham?

– Jeśli tak cię interesowało eksperymentowanie ze swą aseksualną naturą, to dlaczego nie poszłaś z nieznajomym na kilka głębszych do pubu? To stara i sprawdzona metoda stosowana przez ludzi na całym świecie.

– Jakkolwiek przedstawiasz to niezwykle atrakcyjnie, nigdy wcześniej nie byłam tego ciekawa. Nie ciekawiło mnie to, zanim poznałam... – urwała. Uderzyło ją słowo, którego nie powiedziała, a które zawisło między nimi, zupełnie jakby je wykrzyczała.

Ciebie.

Nie ciekawiło mnie to, zanim poznałam ciebie.

Dominik poczuł się... uciszony.

– Nie martw się – powiedział. Odkrył, że traci panowanie nad tonem głosu. – Obiecuję, że spodoba ci się to dużo bardziej, niż gdybyś zrobiła to z jakimś ochlapusem w toalecie w barze.

Zrzucił koszulę, po czym skinął na nią głową.

– Twoja sukienka, małżonko. Zdejmij ją.

Przy urywanym oddechu, drżącymi rękami złapała rąbek sukni. Po krótkiej walce zdjęła ją przez głowę, odsłaniając swe ponętne ciało.

Nareszcie, pomyślał, gdy odrzuciła suknię na bok i stanęła przed nim, ubrana jedynie w koronkowy biustonosz obejmujący jej idealne piersi i parę

różowych majteczek.

Podszedł pospiesznie i wreszcie położył na niej swe dłonie. Dotykał gardła, gdzie rytmicznie uderzał jej puls, oraz miękkich wzgórz jej piersi, podtrzymywanych przez miękką tkaninę. Przesuwał dłońmi po apetycznej krzywiźnie brzuszka, biodrach dopasowanych do jego dłoni i twardych pośladkach.

Była ciepła, ale pod jego dotykiem dopiero się rozpałała.

Zachwyciło go, że spąsowiała na mocny, jaskrawoczerwony kolor, od twarzy aż do pępka.

Upadł przed nią na kolana, oplótł ją ramionami i przywarł ustami do jej brzucha, tuż pod pępkiem.

Dotyk mu nie wystarczał. Musiał jej jeszcze posmakować.

Wędrował ustami po jej ciele, śladami wcześniejszych wędrówek jego palców. Zatopiła palce w jego włosach, lecz albo nie wiedziała, jak go prowadzić, albo też jej na tym nie zależało, więc wytyczał swą własną ścieżkę.

Gdy oczy miała całkowicie już przesłonięte żądzą, rozpiął i ostrożnie zdjął jej stanik.

Idealna. Była idealna. Przysunął się, by móc podziwiać ją z bliska. Złapał sutek ustami i ssał tak mocno, aż załkała.

Był to najwspanialszy odgłos, jaki kiedykolwiek słyszał.

Gdy skończył cieszyć się jej sutkami, sterczały twardsze. Ona zaś zaciskała dłonie na prześcieradle za nią i odchyłała głowę lekko do tyłu, rozpościerając swą złotą grzywę niczym aureolę.

Uniósł ją do góry i położył na łóżku, po czym zdjął jej majtki.

Gdy powoli je ściągał wzdłuż jej jedwabistych nóg, zaczęła lekko sapać.

Uniósł jej nogi i oparł je o swoje ramiona. Zamarł na moment, zachwycony, że ma nieograniczony dostęp do słodczy między jej nogami.

Zapach jej podniecenia doprowadzał go do oblędu.

Spojrzał na nią i wygiął usta w uśmiechu na widok jej oniemiałego wyrazu twarzy.

– Ty... moje nogi... – Brzmiała jak nie ona.

– Po to, żeby cię łatwiej zjeść, moja droga – powiedział ciemnym, zachłannym głosem.

Wtedy przywarł do niej ustami i pokazał jej, jak wygląda prawdziwa, mroczna baśń.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Czuła się jak rażona piorunem. Zesztywniała, potem przeszyły ją dreszcze.

To jednak nie powstrzymywało Dominika.

Jej męża.

Lizał ją bez końca. Nie zwracał uwagi, że zatopiła dłonie w jego włosach i ciągnęła je.

Po pierwszym porażeniu nastąpiło inne doznanie, coś jak tańczące po jej ciele języki ognia. Usiłowała znaleźć słowa dla coraz to nowych doznań, ale ciągle przychodziły następne, jakby Dominik chciał jej pokazać wszystkie sposoby, w jakie ciało może płonąć.

W końcu eksplodowała. Oderwał się od niej i przycisnął usta do wewnętrznej strony uda, by poczuła, jak się uśmiecha.

Wstał, pociągając ją razem ze sobą i nagle oboje znaleźli się pośrodku wielkiego łóża.

Wdrapał się na nią, a Lauren pojęła, że gdzieś z pamięci uleciał jej fragment czasu. Dominik był bowiem goły, a nie przypominała sobie, by zdejmował spodnie.

Czuła dotyk jego muskulatury, jego nogi między jej nogami. Oczy miał jak srebro. Pierś pięknie rzeźbioną. Od rana nie pragnęła niczego innego.

Teraz nadszedł czas, by to ona dotykała jego. Badała go dłońmi z fascynacją, o którą się nie posądzała.

– Nie rozumiem, jak mężczyzna może być taki piękny – wyszeptała.

W końcu natrafiła palcami na najtwardszą część swojego męża.

Pocałował ją mocno w usta, a w międzyczasie jego dłonie czyniły prawdziwe cuda.

Usłyszała cichy dźwięk otwieranej folii, po czym usadowił się wygodnie między jej nogami.

Palcami wielbił jej najbardziej spragnione dotyku miejsce.

– Powiedz mi teraz, że niczego nie czujesz – warknął głosem nie do poznania.

– ...że niczego... – zaczęła.

Lecz wtedy poczuła go, w samym środku siebie.

Nie ustawał. Nie przestawał naciskać na nią.

– Pamiętaj – warknął znowu. – Jesteś aseksualna, Kapturku. Nie czujesz tego, co inni ludzie. Czyż nie tak?!

Nie była w stanie mu odpowiedzieć. Po prostu wbiła mu palce w ramiona.

Wreszcie, choć zbyt szybko, zatrzymał się. Wsparty na łokciach spojrzał na nią srebrzystym wzrokiem.

Cały czas w niej tkwił. Wiedza o tym, połączona z niezwykle silnym doznaniem, wywołała u niej kolejne słodkie uniestwienie. Tym razem było jak fala: uderzało raz po raz, aż wytłumiło się całkiem o brzeg.

Gdy otworzyła ponownie oczy, widziała tylko zaciśniętą szczękę Dominika i coś surowego w jego spojrzeniu.

– Wykończysz mnie – wycodził przez zaciśnięte zęby.

– Czy coś robię źle? – spytała, próbując złapać oddech.

On tylko jęknął, po czym chwycił ją jeszcze mocniej.

– Nie, Kapturku, nic nie robisz źle. – Głos jednak miał umęczony.

Nie miała czasu tego przemyśleć, bowiem ponownie zaczął się poruszać.

Nie wiedziała, że było to wszystkim, czego pragnęła.

Nie mogła oddychać. Nie mogła myśleć. Mogła tylko czuć.

Zachłanność i namiętność, tęsknota i pożądanie, a to wszystko skupione na mężczyźnie poruszającym się w niej. Każde pchnięcie było dla niej lekcją.

O żądzy. O pragnieniu.

O wszystkim, czego jej brakowało przez te samotne lata.

Nauczał ją o nadziei, nauczał ją o zachwycie – i nie przestawał.

A gdy tym razem eksplodowała, on doszedł razem z nią.

Nie powinien był opuszczać swego ganka, pomyślał ponuro Dominik. Niebo przybrało tajemniczo granatowy kolor, a Lauren leżała wtulona w jego pierś, jej oddech był równy, a oczy zamknięte.

Powinien był zostać na Węgrzech. A już pod żadnym pozorem nie powinien zawierać tego małżeństwa.

Nie mógł się jednak zmusić, by się uwolnić od ciężaru jej ciała.

Nie sądził, że seks z Lauren może być dla niego taki... niszczycielski.

Nawet sobie nie wyobrażał, że cokolwiek mogłoby się przebić przez jego skorupę.

Od lat nic go nie poruszyło. Żadna inna kobieta nie dała rady choćby zarysować powierzchni.

Dominik nigdy nie doznał tak powalającego doznania. Był nagi. I nie chodziło tu tylko o ubrania. Był nagi w każdym tego słowa znaczeniu. Czuł się przezroczysty, tak że każdy, kto by się napatoczył, mógłby ujrzeć wszystko, co przez lata urywał we wnętrzu, przed wścibskim wzrokiem. Najpierw jako sierota, gdy starał się jak najlepiej wypaść w oczach

potencjalnych rodziców. Potem jako dziecko ulicy, gdy musiał zgrywać twardego, by zostawiono go w spokoju. Wreszcie jako żołnierz, gdy udawał, że wykonywane rozkazy nie zostawiają na nim śladu.

Musiał wstać i opuścić sypialnię. Potrzebował długiego, męczącego biegu, by oczyścić umysł. Potrzebował jakiejś aktywności fizycznej, by rozbroić kotłujące się w nim uczucia. Czuł się, jakby Lauren zburzyła wszystkie granice, jakie miał, a on nie mógł na to pozwolić...

Poruszyła się przez sen. Była ocierającym się o niego gładkim, miękkim źródłem ciepła.

Wydała z siebie westchnienie, które brzmiało jak jego imię. I co on miał z tym teraz zrobić?

Wbrew sobie został przy niej.

W końcu uniosła głowę, podparła brodę dłońmi i zamrugła.

Chrząknął.

– Czy uważasz, że masz w sobie to, by zaangażować się na serio w uprawianie tego sportu? – Ledwo był w stanie rozpoznać swój głos. Także ton wydawał mu się obcy. Czy to była... wesołość?

– To w ogóle jest sport? Myślałam, że to raczej sposób na zabijanie czasu. Albo nawyk. Dla niektórych zaś: nałóg.

– Zawsze się znajdują amatorzy i hobbyści, Czerwony Kapturku. Ale ja do nich nie należę.

Chciał odejść, lecz jego dłonie spoczywały na niej i nie chciały się oderwać od jej krągłości.

– Proszę o wybaczenie. Nie zdawałam sobie sprawy, że rozmawiam ze słynną gwiazdą alkowy.

– Mogę przymknąć na to oko. Ten jeden raz.

Musiał zacząć się od niej dystansować. Natychmiast. Nie był stworzony do więzi międzyludzkich. To przez ludzi przecież zaszył się w lesie.

Ale ta śliczna, niesamowita osoba patrzyła teraz na niego, jakby był całym jej światem. Przesunął palcami po jednym z zaróżowionych, gładkich jak jedwab policzków.

– Nadal trwa nasza noc poślubna – zauważyła.

– W rzeczy samej.

Zatrzepotała rzęsami, po czym zaczęła czubkiem palca kreślić mały wzór na jego piersi.

– Nie wiem, jak to działa. I czy dasz jeszcze radę. Fizycznie, znaczy się. Tak sobie myślałam... – westchnęła. – Czy to już cała lekcja na dzisiaj?

Koniec końców, Dominik był tylko mężczyzną, nieważne, jak bardzo starał się zrobić z siebie leśnego potwora. A ta jego część, która tak pragnęła tej dziewczyny, w żadnym wypadku nie zadowoliliby się tak małym kęsem.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Sytuacja nie ulegała poprawie w miarę upływu dni, które nieuchronnie przechodziły w tygodnie.

Dominik musiał położyć kres temu szaleństwu. To nie ulegało dyskusji. Nagłąca potrzeba ucieczki od bałaganu, jaki tutaj narobił, wyniesienia się z Anglii, zostawienia kobiety, której nie powinien poślubić, dudniła mu w głowie jak werble.

Ale dni mijały, a on się nigdzie nie wybierał. Nie próbował nawet odejść, jakby to on zawędrował do niewłaściwego lasu i znalazł się pod działaniem uroku.

W tym czasie nawzajem udzielali sobie lekcji.

– Potrafię posługiwać się utensyliami, Czerwony Kapturku – oświadczył ponuro pewnego poranka po powrocie z przebieżki. Gdy wszedł do jadalni po wzięciu prysznicą i przebraniu się i zobaczył całe połączenie sreber po obu stronach talerzy.

Lauren siedziała wśród tego wszystkiego z ugrzecznionym wyrazem twarzy i włosami związanymi w koński ogon, co odebrał jako afront.

– To nie będzie lekcja elementarnych zasad posługiwania się widelcem, bo zakładam, że tę umiejętność opanowałaś już jakiś czas temu – odparła. Przesunęła po nim spojrzeniem, które sprawiło, że znowu poczuł się jak podrzutek z umorusaną buzią, nigdy nie dość dobry. Zaciśnął zęby, bo to uczucie było akurat ostatnim, czego teraz potrzebował. Teraźniejszość była

wystarczająco skomplikowana i bez przywoływania przeszłości. – Dzisiaj zajmujemy się manierami obowiązującymi na formalnych przyjęciach.

– W innych wypadkach mogę gotować sobie sam, jeść palcami, jeśli będę miał na to ochotę, a w moich żyłach będzie płynęła dokładnie ta sama krew co zawsze. I nikogo to nie będzie w najmniejszym stopniu interesowało.

Spodziewał się reprimendy, ostrej i dowcipnej, ale nie nastąpiła. Lauren przyglądała mu się przez chwilę uważnie, a on nadal nie wiedział, jak sobie radzić z tym, w jaki sposób na niego patrzyła. Łagodnie. Ciepło.

– Oczywiście, historycy nie odnotują, jakiego widelca użyłeś podczas bankietu – powiedziała. – Zabawne jednak, jak maniery często potrafią ukryć nasze braki.

– A czego mi właściwie brakuje? Proszę o konkrety. Mów otwarcie.

– Mówiłam o sobie, Dominiku. Nie o tobie.

Uśmiechnęła się i świat stanął w miejscu.

Powiedział sobie, że to jeszcze jeden powód, by od niej uciec. Ale zamiast tego usiadł naprzeciw niej, jakby naprawdę znajdował się pod działaniem zaklęcia.

– Kiedy miałam dziewięć lat, moi rodzice byli już od dwóch lat rozwiedzeni, co oznacza, że każde z nich wzięło kolejny ślub. Moja macocha zaszła w ciążę. Moja matka również, o czym wówczas jeszcze nie wiedziałam. Nadal uważałam, że powinni spędzać ze mną znacznie więcej czasu. Więc pewnego dnia postanowiłam uciec z domu, żeby zaczęli się o mnie martwić i w konsekwencji działać, jak na rodziców przystało.

Uśmiechnęła się na to wspomnienie, ale nie był to wesoły uśmiech. Później Dominik zastanawiał się, skąd wiedział, jak rozróżniać jej uśmiechy. Jakby wbrew własnej woli uczył się jej nawet wtedy, kiedy pozornie nie zwracał na nią uwagi.

– Jeździłam autobusami po całym mieście, aż do wieczora – mówiła z tym samym uśmiechem. – Przyjechali razem, jak na to liczyłam, ale tylko po to, by mnie oskarżać o to, jakim jestem nieszczęściem. W godzinę po moim powrocie uzgodnili, że odeślą mnie do internatu na lato, żeby ktoś inny zwolnił ich z obowiązku zajmowania się mną.

– Rozumiem, że nie wszyscy rodzice są dobrzy – powiedział Dominik półgłosem. – Radziłbym ci jednak nie narzekać na swoich dość obojętnych, ale jednak istniejących rodziców, w obecności kogoś, kto ich w ogóle nie miał. Nigdy. Ani obojętnych, ani żadnych.

– Nie narzekam na nich – odparła Lauren spokojnie. – Są, jacy są. Mówię ci, jak doszło do tego, że trafiłam na lato do wyjątkowo ekskluzywnej szkoły. Pełnej niechcianych dzieci.

– Rozpieszczonych dzieciaków. Zapewniam cię, że żaden sierociniec nie jest ekskluzywny.

– Tak. Ktoś gdzieś słono płacił za wysłanie nas do tej szkoły. Ale trudno wytłumaczyć samotnej dziesięcioletniej dziewczynce, która wie, że znalazła się w tej szkole, ponieważ rodzice nie chcą mieć z nią nic wspólnego, że jest rozpieszczana. Byłam po prostu przerażona.

Dominik patrzył na nią i powtarzał sobie, że nic nie czuje. Nauczył ją, że doznania to coś prawdziwego i że można je odczuwać, ale dla siebie ich nie pragnął. Ani doznań. Ani emocji.

– Uczyli nas tam manier – mówiła Lauren tym samym miękkim, natarczywym tonem. – Zachowania. Tańca. To wydawało mi się równie głupie jak teraz tobie, ale coś ci powiem. Od tego czasu ciągle miałam wieczorami poczucie, że jestem w niewłaściwym miejscu. Na przykład na uniwersytecie, wśród rówieśników z ich intrygami miłosnymi. A dzisiaj często szukam ucieczki w sprawy formalne, gdzie oczekuje się ode mnie odgrywania roli emblematu Combe Industries, a równocześnie wtopienia

się w tło. Jednocześnie. A wiesz, co mi pozwala tego dokonać? Świadomość, że co by się nie działo, to zawsze będę się umiała znaleźć na polu towarzyskim. Ludzie dręczą się tym, jaki widelec wybrać i który talerz jest ich, a ja siedzę spokojnie, słuchając rozmów, których nie powinnam słuchać, gotowa do wykonywania swojej pracy i w pełni do tego zdolna.

– I niech Bóg broni, żeby cokolwiek nie pozwoliło ci wykonywać swojej pracy.

– Lubię swoją pracę.

– Czyżby? A może lubisz wyobrażać sobie, że twój pan Combe nie może przeżyć dnia bez ciebie? – Wzruszył ramionami, kiedy spiorunowała go wzrokiem. Myślał, że będzie miała wiele na ten temat do powiedzenia, ale ona wskazała tylko ruchem głowy leżące przed nimi srebra.

Dominik nie potrafił się zmusić do poinformowania jej, że już wie, jak się zachować podczas oficjalnych obiadów. Nie mógł jej podziękować za lekcję, ponieważ Lauren sądziła, że daje mu narzędzie, którym mógłby się posłużyć do ratowania siebie.

Tak jak nie mógł się zmusić do przyznania się do zamętu, jaki powstał w nim na myśl o przerażonej dziewięciolatce porzuconej przez rodziców, która uczyniła z manier swoją tarczę i miecz.

Okazał jej to, biorąc ją w ramiona przed jednym z niekończących się kursów i przeprowadzając własną lekcję. Aż oboje ciężko dyszeli i użycie właściwego widelca stało się im najzupełniej obojętne.

Zamierzał wyjechać następnego dnia, ale był dancing, co oznaczało, że mógł trzymać Lauren w ramionach, a potem zanieść ją na górę po schodach i pokazać jej, do czego służą słupki łoża z baldachimem. Miał wyjechać następnego dnia, ale pokazywała mu nagrania wszystkich posiadłości San Giacomo.

Każdego dnia coś nowego. Prezentacje najrozmaitszych spraw. Nauki wszelkiego typu, od zachowania poczynając, po konwersacje, i tak w kółko. Spotkania z unizonymi, nazbyt gorliwymi krawcami, których już był gotów znienawidzić, dopóki nie wrócili z tak pięknymi ubraniami, że nawet on musiał przyznać, że wyglądał w nich jak prawdziwy arystokrata. Którym nie był.

Nie mógł ich znienawidzić, kiedy Lauren spoglądała na niego tak, jakby był królem.

Powinien się stąd wydostać, ale przez całe dzieciństwo układał sobie w głowie historie o wymaginowanej rodzinie. I nie potrafił się zmusić do odejścia od jedynej osoby na świecie, która mogła mu opowiedzieć nowe historie. Tym razem prawdziwe.

Lauren znaczną część każdego dnia poświęcała na zapoznanie go z dziejami rodu San Giacomo, aby wiedział dokładnie, w jaki sposób stali się przed wiekami prawdziwą potęgą. Jak doszli do bogactwa i znaczenia, które przetrwało stulecia.

I jak prawdopodobnie doszło do tego, że szesnastoletnia dziedziczka rodu została zmuszona do oddania swego nieślubnego dziecka, czy tego chciała, czy nie.

O tym najtrudniej mu było myśleć, przypuszczalnie dlatego, że tak bardzo chciał w to uwierzyć.

– Musiałaś ją znać – powiedział pewnego dnia, patrząc, jak letni deszcz uderzał o szyby okna.

Znajdowali się znowu w bibliotece, w otoczeniu tych wszystkich książek o złożonych grzbietach, które nie zostały ustawione na swych jakże ważnych półkach dla kogoś takiego jak on, nieważne, jaka krew płynęła w jego żyłach. Lauren siedziała przed laptopem przy stole zarzuconym albumami ze zdjęciami oraz segregatorami z wycinkami prasowymi na

temat rodu San Giacomo. Wszystkie te historie należały teraz do niego, powtarzała mu to raz za razem.

Dominik nie mógł jakoś w to uwierzyć.

Przez całe dzieciństwo był spragniony każdego strzępu informacji o swojej rodzinie. O sobie. Kiedy doszedł do dorosłości, przekonywał samego siebie, że to nie miało dla niego najmniejszego znaczenia, ponieważ tworzył swoją własną cholerną historię.

Nie mógł się powstrzymać od refleksji, że to wszystko przyszło... za późno. Że właśnie to, co uratowałoby go w dzieciństwie, teraz stało się zaledwie bajeczką na dobranoc, bez wpływu na prawdziwe życie.

– Alexandrinę – powiedział z wysiłkiem, kiedy Lauren zmarszczyła czoło. – Musiałś znać moją matkę, kiedy jeszcze żyła.

Jak dziwnie się czuł, wymawiając te słowa. Moją matkę. Gorzko i słodko. Niezręcznie. Nieprawdziwie. Moja matka, to było marzenie, które prześladowało go w dzieciństwie. Nie rzeczywista postać. Nie kobieta, która miała własne życie, nadzieje i marzenia, a może nawet powody.

Nigdy nie przyszło mu do głowy, że jego gniew to dar. Gdyby nie on, to nie pozostałoby mu już nic poza współczuciem... a jak można budować na tym życie?

– Rzeczywiście, znałam ją – powiedziała Lauren. – Trochę.

– Czy ona...?

Nie wiedział, o co zapytać. I nie wiedział, czy chciałby znać odpowiedzi.

– Nie mogę być bezstronnym sędzią. – Lauren starannie dobierała słowa. Dominik zastanawiał się, kiedyż to stał się tak delikatny, że Lauren uważała, że potrzebował specjalnego traktowania. – Pracowałam dla jej syna, więc przy każdym spotkaniu odnosiłyśmy się do siebie uprzejmie, ale na dystans. Nie wiem, ile warte są moje wrażenia.

– Na pewno więcej niż mój całkowity brak wrażeń.

Lauren kiwnęła głową.

– Była bardzo piękna.

– To mi niewiele mówi o jej charakterze, na pewno zdajesz sobie z tego sprawę.

– Potrafiła być niecierpliwa. Ale potrafiła też być zabawna. – Lauren zastanawiała się przez chwilę. – Myślę, że miała pełną świadomość swojej pozycji.

– Co znaczy, że była snobką.

– Nie, nie sędzę. Nie w takim sensie. Nigdy nie widziałam, żeby kogoś źle potraktowała. Ale miała pewne standardy i oczekiwała, by były przestrzegane. – Uśmiechnęła się. – Gdyby była mężczyzną, mówiono by, że wiedziała, czego chce.

– Czytałem o niej. – Rzeczywiście czytał, ale nie potrafił doszukać się w sobie żadnego podobieństwa do tej niesamowicie olśniewającej istoty, która śmiała się i dąsała przed kamerami, która zainspirowała tyle artykułów na temat jej stylu, co, jak podejrzewał Dominik, było sposobem powiedzenia o wysokiej klasie kobiety bez obrażania jej.

– Zawsze odnosiłam wrażenie, że ona nauczyła się, jak być ładną. I jak wykorzystywać tę swoją urodę, by spełnić oczekiwania obu wielkich rodów, do których należała. Ale myślę, że nigdy nie przyszło jej do głowy, że mogłaby być szczęśliwa.

– A mogła? – zapytał Dominik, ironicznie. – Nie zdawałem sobie sprawy, że istniała taka możliwość.

– Zawsze powinna istnieć taka możliwość – odparła Lauren ze spokojnym przekonaniem, którego Dominik nie chciał do siebie dopuścić. – Czyż nie o to chodzi?

– W czym właściwie?

– We wszystkim, Dominiku.

– To brzmi jak wyjęte z amerykańskiej reklamy – wycodził Dominik przez zęby po dłuższej chwili. – Nikomu nie należy się szczęście. I z pewnością niewielu je odnajduje.

Nie zamierzał odejść od okna, ale zrobił to. Bo nagle znalazł się przed kanapą i spoglądał na Lauren z góry.

Ona zaś patrzyła na niego znowu z tak łagodnym wyrazem twarzy. Co wiązało się bezpośrednio z tym supłem w głębi niego, z którym żył od kilku tygodni. Z tym bólem. Z tą piekielną wrzawą pod żebrami, domagającą się, by odszedł, a jednak niepozwalającą mu odejść.

– Może gdybyśmy oczekiwali szczęścia, to udałooby się nam go trochę znaleźć. – Jej głos był jak miód, ale zrobiło mu się niedobrze, ponieważ nie miał bronie przeciwko tej słodyczy. Karmelowe oczy i głos jak miód, a on był człowiekiem skończonym. – Dlaczego nie spróbować?

– Nie miałem pojęcia, że nasze lipne małżeństwo zmieni się tak szybko w grupę terapeutyczną – usłyszał własne warknięcie. Wbrew jego oczekiwaniu, Lauren nie zagotowała się, więc dodał: – Tak zwane szczęście to ostatnia deska ratunku dla półgłówków. Prawdziwe życie jest nieco bardziej skomplikowane.

Lauren uniosła rękę, ale zaraz ją opuściła.

– Nie wierzę w to.

A powiedziała to w taki sposób, że Dominik poczuł się tak, jakby wybiła mu dziurę w piersi. Nie zadarła buntowniczo nosa. W jej ślicznych oczach nie pojawił się gniewny błysk. To było proste stwierdzenie, bardziej stanowcze właśnie przez swoją miękkość niż jakakolwiek demonstracja siły.

I nie było naprawdę powodu, by wstrząsnęło nim jak gwałtowna burza.

– Nie wierzysz, że świat jest okropnym miejscem, równie skomplikowanym, jak okrutnym, gdzie ludzie ignorują własne dzieci albo podrzucają je w sierocińcach?

– Ludzie potrafią być okropni i przerażeni, ale to oznacza, że jeśli trafi im się szczęście, to powinni je łapać obiema rękami.

– Niech zgadnę: uważasz, że powinienem bardziej doceniać to, że kobieta, która przez cały czas wiedziała, gdzie jestem, powiedziała w końcu innym, gdzie mnie znaleźć? Ale dopiero po jej śmierci, żeby mogli opowiadać mi łzawe historie o tym, że mogła mnie oddać wbrew własnej woli. Chciałabyś, żebym doszedł do wniosku, że jednak i tak skończyłem tutaj, więc po co się rozwodzić nad tym, co straciłem do tej pory? Wybacz, ale w odróżnieniu od ciebie nie postrzegam tego jako dar.

– Świat by się nie skończył, gdybyś wpuścił odrobinę optymizmu do swego życia – odparła Lauren z tym samym spokojnym przekonaniem, które ujmowało go w niezrozumiały sposób. – Kto wie? Może pozwoliłbyś sobie nawet na nadzieję. – Ich spojrzenia się spotkały. – Nadzieja wymaga siły, Dominiku. Szczęście wymaga pracy. Chcę wierzyć, że warto się o nie starać.

– Co wiesz o jednym i drugim? – zapytał. – Ty, która zamknęłaś się przed światem i wmówiłaś sobie, że nie lubisz elementarnych ludzkich potrzeb. Czy jesteś pokazowym przykładem szczęścia?

– Tak, dzięki tobie.

Te słowa były takie proste.

Ale podziały jak tornado, które poderwało go w powietrze.

– Dzięki mnie. – Potrząsnął głową, jakby nie zrozumiał tych słów. Jakby posłużyła się nimi, żeby go uderzyć. – Jeżeli przyniosłem ci szczęście, Czerwony Kapturku, to obawiam się, że zgubiłaś się w głębokich, ciemnych lasach, z których już nigdy nie powrócisz.

Wstała, a jego ogarnęło pragnienie, by ją zatrzymać. Jakby wiedział, co zamierzała powiedzieć, choć oczywiście nie mógł tego wiedzieć. Nie chciał wiedzieć.

Powinien wyjechać, zanim do tego doszło.

Powinien wyjechać.

Przesunął po niej spojrzeniem i nagle uderzyło go, że choć skupiał na niej całą uwagę, to tak naprawdę nie patrzył na nią, odkąd przyjechali tu kilka tygodni temu. A przynajmniej nie kiedy była ubrana. Nie nosiła już tych surowych, demonstracyjnie profesjonalnych kostiumów i nie mógł sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni je założyła. Dzisiaj miała na sobie miękkie spodnie, które były tak cudownie łatwe do zdjęcia. Miała również podkoszulek, który zsuwał się z jednego ramienia, co tak bardzo lubił, gdyż ułatwiało dostęp do rozkoszy kryjących się pod spodem.

Jedno i drugie stanowiło wskazówkę, którą zignorował.

To włosy uniemożliwiały udawanie, że nic się nie zmieniło.

Zniknął mocno ściśnięty gumką koński ogon, który krępował jedwabiste blond fale. Teraz włosy były rozpuszczone i opadały na ramiona, ponieważ on lubił wplątywać w nie ręce.

– Tak, dzięki tobie – odpowiedziała na zadane przez niego pytanie, jak również na te, których nie zadał. – Ty dałeś mi szczęście, Dominiku. I nadzieję. Przykro mi, że nie to chciałeś usłyszeć.

Chciał kazać jej przestać, ale jakoś nie był w stanie się poruszyć.

A ona mówiła dalej.

– Myślałam, że się znam, a tymczasem wcale się nie znałam. Myślałam, że znam swoje potrzeby, a nie miałam o nich pojęcia. Prosiłam, żebyś mnie ich nauczył, ale miałam na myśli konkretnie seks. Spełniłeś moją prośbę, ale nauczyłeś mnie znacznie więcej. Nauczyłeś mnie wszystkiego. – Uśmiechnęła się, a takiego uśmiechu jeszcze nigdy u niej nie widział, tak

drżącego i pełnego nadziei. I właśnie to go zabiło. – Myślę, że dzięki tobie stałam się pełna, Dominiku, a nie miałam pojęcia, że dotąd nie byłam.

Gdyby wbiła mu nóż w sam środek piersi, nie czułby się chyba bardziej zdradzony.

– Nic podobnego nie zrobiłem – wycodził przez zęby. – Seks to nie jest szczęście. To nie jest nadzieja. I z całą pewnością nie jest to sposób, by odnaleźć samą siebie, Lauren.

– A jednak odnalazłam siebie. – I nadal kierowała ku niemu ten uśmiech, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy, że go tym zabija. – Trzeba podążać za okruszkami chleba bardzo długo, nawet w głąb lasu, gdzie roi się od przerażających stworów i wilków podobnych do ludzi, nie wiedząc, co się znajdzie na samym końcu.

– Ja dokładnie wiem, co znajdę na końcu. Nic. Ponieważ nie ma żadnej czarownicy w domku z piernika. Nie ma żadnego Złego Wilka. Zostałaś wysłana, żeby mnie odnaleźć, przez człowieka, który spełniał swój obowiązek, nic więcej. A ja pojechałem z tobą, ponieważ...

– Właśnie, dlaczego? – Znowu ta łagodność i pewność w jej głosie, które uderzały go jak cios pięścią. – Z pewnością nie musiałeś zaprosić mnie do swojej chaty. A zrobiłeś to.

– Wyobrażam sobie, że jeszcze długo będę sobie zadawał to pytanie. – Dominik machnął ręką w powietrzu, nie wiedząc, czy chciał uderzyć ją, czy siebie. – Ale to koniec, Lauren. Przeprowadziłaś swój eksperyment, który właśnie dobiegł końca.

– Bo za bardzo mi się spodobał? – Miała czelność wybuchnąć śmiechem. – Na pewno robiłeś to już wcześniej, Dominiku. Czy nie tego chciałeś? Żebym zakochała się w tobie po uszy? Bo z jakiego innego powodu tak głęboko zaangażowałbyś się w mój eksperyment?

Cofnął się. Jakby jej słowa były trucizną. Gorzej. Toksyyczną bombą mogącą przesłonić słońce.

Czuł się tak, jakby już go oślepiła.

– Nie istnieje ryzyko, żeby ktoś się we mnie zakochał – stwierdził ochryple.

– Myślę, że sam wiesz, że to nieprawda. Zakładałam, że to dlatego zostałeś tutaj aż tak długo.

– Pozostałem tak długo, ponieważ taką zawarliśmy umowę.

– Nasza umowa obejmowała noc poślubną, Dominiku. Może jeszcze następny dzień. A to już prawie dwa miesiące.

– Nieważne, jak długo to trwa. I nieważne dlaczego. Cieszę się, że pozwoliłaś sobie na odczuwanie emocji. – Wcale się jednak z tego nie cieszył. Był jak najdalszy od zadowolenia. – Ale ja ich nie doznaję. I nie zamierzam.

– Ależ oczywiście, że ty też je odczuwasz. – I to było najgorsze, ponieważ powiedziała to jakby od niechcenia. Ponieważ patrzyła na niego tak, jakby wiedziała o nim coś, czego on sam o sobie nie wiedział, i to było nie do zniesienia. Dominik nigdy nie dał się nikomu poznać. Nie chciał tego. – Myślę, że też to wiesz.

Dominik nigdy się nie dowiedział, co mógłby na to odpowiedzieć – jak by się rozzłościł, albo, co gorsza, nie – ponieważ w tym momencie drzwi biblioteki zostały otwarte i stanęła w nich jedna z cichych, doskonale wyszkolonych służących z Combe Manor, z zasępioną miną.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedziała, wodząc wzrokiem pomiędzy nimi. – Obawiam się, że coś się stało. – Wskazała ręką długi podjazd od frontu. – Są tam reporterzy. Wszędzie. Kamery, mikrofony i krzyki.

Oczy pokojówki spoczęły na Dominiku, jakby chciała go przeprosić. A on czuł w sobie pustkę, jak zawsze w przeszłości i jak będzie w przyszłości. Nawet jeśli teraz, dzięki Lauren, ta pustka bolała.

Pokojówka odchrząknęła.

– Pytają o pana, sir. Po nazwisku.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

W końcu Lauren była zmuszona wezwać policję z Yorkshire, żeby nakłonić paparazzich do opuszczenia posiadłości i wyniesienia się sprzed domu na sam koniec długiego podjazdu prowadzącego ze wsi do Combe Manor.

Ale zło już się stało. Lauren wiedziała, że w końcu do tego dojdzie, że testament trafi do wiadomości publicznej, a Dominik zostanie zidentyfikowany. Jego cichy ślub z wieloletnią asystentką przyrodniego brata był przez dwadzieścia cztery godziny wiadomością dnia.

Przedstawiano ją jako bezwstydną łowczynię majątku. Spekulowano, że szef wysłał ją, by omotała Dominika, wyszła za niego, a potem... urobiła go w jakiś sposób na korzyść Mattea.

Było to równocześnie bliskie prawdy oraz jak najdalsze od prawdy, ale pokusa wyśmiania tych spekulacji rozwiąła się z powodu reakcji Dominika.

Dominik zniknął.

Na początku przepadł, choć fizycznie był nadal obecny. Wyglądało to tak, jakby spoglądała w próżnię. W jednej chwili prowadziła z nim rozmowę, co prawda niezbyt przyjemną, a w następnej Dominik, którego znała, zniknął, a jego miejsce zajął ktoś obcy.

Mroczny, ponury nieznajomy, który patrzył na nią z lodowatym znużeniem. Tak samo jak na paparazzich przed domem. Nie nazywał jej już Czerwonym Kapturkiem, więc nie mogła się nawet uskarżać, że tego nie lubi.

Jeszcze mniej podobało jej się to, że przestał ją tak nazywać.

Komórka dzwoniła jak oszalała, ale Lauren nie odbierała telefonów, ani od nieznanych numerów, gdyż podejrzewała, że oznaczają kolejnych reporterów, ani od Pii, która przypuszczalnie dowiedziała się z mediów, że ma jeszcze jednego brata. Lauren czuła się winna, że nie nalegała, aby Matteo powiedział jej o tym wcześniej. Połączenia od rozmaitych członków rady dyrektorów Combe Industries z przyjemnością przełączała od razu do poczty głosowej.

– To pan Combe – powiedziała, kiedy Matteo zadzwonił kolejny raz. – Wreszcie.

– Musisz odebrać, oczywiście – mruknął Dominik, który znowu stał przy oknie i patrzył w przestrzeń. – Boże broń, żebyś nie skoczyła na wezwanie swojego pana.

Lauren nie podobał się sposób, w jaki to powiedział. Ale nie wiedziała, jak na to zareagować.

– Zawsze wiedzieliśmy, że ten dzień w końcu nadejdzie – rzuciła więc tylko po zakończeniu krótkiej, oceniającej straty rozmowy z Matteem. – Dziwne, że nie doszło do tego wcześniej.

– Od tygodni odgrywamy Pigmaliona na wszelkie możliwe sposoby. – Głos Dominika, przypominający ponury pomruk, sprawił, że przeszył ją dreszcz. I bynajmniej nie był to dreszcz rozkoszy. – Nie pozostało już nic do zagrania.

Lauren już wcześniej otworzyła szafkę i włączyła telewizor, mogli więc oglądać najświeższe wiadomości i pasek niekończących się zarzutów i oskarżeń u dołu ekranu. Teraz pogłośniła, żeby mogli również usłyszeć, co mówili reporterzy. A mówili o niej.

– Chyba powinniśmy nakreślić jakiś plan przedstawienia cię...

– Nie.

– Nie, bo nie chcesz być przedstawiony w towarzystwie? Czy nie, bo nie chcesz...

– Wypełniłaś swoją rolę perfekcyjnie, Lauren. – Ale w jego ustach te słowa nie zabrzmiały jak komplement. Były... groźne. – Twój pan Combe na pewno będzie z ciebie dumny. Byłaś moim strażnikiem więziennym. Moją niańką. Ukrywałaś mnie przed światem przez niemal dwa miesiące, pewnie żadne z was nie liczyło, że potrwa to tak długo. Moje gratulacje. Prawie zapomniałem, jaki miałaś w tym cel.

Jego głos się nie zmienił. Nie podniósł też na nią ręki.

A jednak poczuła się tak, jakby ją uderzył.

– Prawdę mówiąc, myślałam, że to potrwa krócej – zdołała wykrztusić Lauren, choć serce tłukło się dziko w jej piersi. – Moim zadaniem było nadanie ci pewnej ogłady i zapoznanie cię z całą historią, Dominiku. To wszystko. Znalazłam eremitę w pustelni. Pan Combe prosił mnie tylko, żebym zrobiła z ciebie San Giacomo.

– I jestem teraz równie bezużyteczny jak każdy z nich. Dobrze wykonałaś swoje zadanie. Najwyraźniej jesteś warta każdego pensa, jaki ci płaci.

Trudno jej było zachować spokój. Trudniej, niż powinno. Zbyt dużo już wiedziała. Dominik zachowywał się jak obcy człowiek, ale jej ciało pragnęło go jak zawsze. Tego ranka obudził ją, wchodząc w nią głęboko, i wyrwał ją ze snów krążących wokół tego, co stało się oszałamiającą rzeczywistością.

Nie wiedziała, jak sobie z tym poradzić. Z dystansem między nimi. Z furią w jego ciemnych oczach. Z ostrym podtekstem kryjącym się pod wszystkim, co mówił, w sposobie, w jaki na nią patrzył – jakby była jego wrogiem.

Powinna z góry wiedzieć, że ceną za zakosztowanie szczęścia – za wyobrażanie sobie, że mogłaby być szczęśliwa – będzie cierpienie po jego stracie.

Więcej niż cierpienie. Kiedy patrzyła na niego i widziała obcego człowieka, była bliska załamania.

Powinna być mądrzejsza i nie pozwolić sobie czuć.

– Wiem, że odbierasz to jako atak personalny – powiedziała ostrożnie, choć czuła się tak, jakby ten personalny atak był wymierzony w nią. – Ale chodzi o to, jak są odbierane rodziny San Giacomo i Combe. Więcej, o to, jak Matteo i jego siostra byli przedstawiani po śmierci ojca. Nikt nie chciał zostać w to uwikłany.

– Ale ja zostałem.

– Dominiku, proszę. Chodziło tylko o ograniczenie strat. To jedyny powód, dla którego pan Combe nie ogłosił światu twojego istnienia, kiedy tylko się o nim dowiedział.

Zwrócił na nią wzrok, twardy jak uderzenie. Chciało jej się płakać, ale czuła, że to by tylko pogorszyło sprawę.

– Nie można ograniczyć strat, Lauren. Myślałem, że ty wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek. Można tylko starać się to przetrwać.

Nie miała czasu się otrząsnąć, ponieważ akurat w tym momencie zadowolony z siebie prezenter wiadomości zaczął informować na ekranie telewizora, kim naprawdę jest Dominik James.

– Właśnie odkryliśmy, że Dominik James to nie tylko dawno zaginiony spadkobierca dwóch najbardziej prominentnych europejskich rodów. Nasze źródła donoszą, że to również miliarder, który sam doszedł do fortuny. Założył firmę, którą niedawno sprzedał za niewielką fortunę. Od tego czasu Dominik był poszukiwany przez celebrytów i władców tego świata, jak również przez kilka rządów.

Potem pokazano kilka jego zdjęć. Na ekranie pojawiły się fotografie Dominika w trzyczęściowych garniturach, z krótko przystrzyżonymi włosami, wymieniającego uściski dłoni z wpływowymi i rozpoznawalnymi osobami na balach, akcjach charytatywnych czy salach konferencyjnych.

Zupełnie niepodobny był do zdziżatego odludka.

– O, rany – mruknął Dominik, kiedy przerwano wiadomości i pojawiły się jakieś głupie reklamy. W jego głosie pobrzmiwał aż nazbyt mroczny ton. – Zastawa stołowa już cię nie uratuje, Lauren. To wszystko było kłamstwem. Nie jestem tym, za kogo mnie miałaś. Dlaczego nie mówiłaś mi, jaka jesteś szczęśliwa?

Przypomniała sobie, dlaczego uważała, że uczucia nie są dla niej. Miała dziewięć lat, kiedy odesłano ją do przerażającego kamiennego budynku pełnego obcych ludzi. Przez całą pierwszą noc nie spała i płakała w poduszkę, żeby współlokatorka nie słyszała.

Od tego czasu zdążyła zapomnieć, jak uczucia potrafią człowieka zwalić z nóg. Miażdżyć pod swoim ciężarem. Dławić, ale nie zabić.

Sprawić, że bicie własnego serca odczuwa się jak uderzenie w twarz.

– Ty wcale mnie nie potrzebowałaś – zdołała wykrztusić, choć wydawało jej się, że blizny po tylu wewnętrznych trzęsieniach ziemi rozdziera teraz jedna wielka katastrofa, której chyba nie zdoła przeżyć. Nieważne, co powiedział o stratach.

Nie chciała jednak, by to zobaczył.

– Nie – oparł Dominik, ale w jego szarych oczach zobaczyła coś tak strasznego, że zapagnęła wyciągnąć do niego rękę. Pocieszyć go. Jego głos był jednak zimny. Wręcz okrutny. Nie odważyła się. – Nigdy cię nie potrzebowałem.

– Więc to była gra. – Nie pojmowała, jak mogła mówić, skoro nie czuła własnej twarzy. Była odrętwiała, ale ten paraliż nie obejmował wnętrza. Jej

mózg próbował desperacko wymyślić, co zrobić z tymi wszystkimi wstrząsami, zanim rozerwą ją na strzępy. – Po prostu prowadziłeś grę. Potrafię zrozumieć, że chciałeś się dowiedzieć, kim naprawdę była twoja rodzina. Ale prowadziłeś grę ze mną.

– Życie to klęska, Lauren – ciągnął tym samym ciemnym, zimnym głosem. – Nie ma nadziei. Nie ma szczęścia. To bajki opowiadane przez głupców. A prawda jest taka, że ludzie kłamią. Oszukują. Opuszczają cię, kiedy tylko mogą, i wykorzystują cię do własnych celów. Nie potrzebowałem, żebyś nadała mi trochę ogłady towarzyskiej, ale i tak jestem ci wdzięczny. Pewnego dnia podziękujesz mi za to, że wyprowadziłem cię z błędu, rozwiąłem te niszczące wyobrażenia.

Komórka Lauren odezwała się znowu. Na ekranie wyświetliło się imię Mattea.

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów Lauren nie miała ochoty odebrać. Miała ochotę rzucić telefonem przez cały pokój i patrzeć, jak roztrzaskuje się o ścianę. Kusilo ją, żeby cisnąć nim w Dominika i przekonać się, czy aparat zdoła rozbić mur, jaki przed nią wzniosł.

Nie robiła żadnej z tych rzeczy.

Na moment spojrzała na komórkę, a kiedy podniosła wzrok, Dominika już nie było.

Siedziała w miejscu przez dłuższy czas, na rodzinnej kanapie Combe'ów, przed ekranem telewizora powtarzającego kłamstwo za kłamstwem na jej temat, aż wreszcie gotowa była sama w nie uwierzyć.

Telefon ciągle dzwonił, a ona nie odbierała.

Na dworze długi letni dzień przechodził powoli w noc.

Po raz pierwszy od bardzo dawna nie wiedziała, co robić. Jak to załatwić. I czy tego chciała.

Jedyne, czego była pewna, to że nawet teraz, po tym jak na nią patrzył, po tym co powiedział, to właśnie do niego chciała pójść. To za jego ramionami tęskniła. Za jego ciepłem i siłą.

Jak mogła pragnąć, żeby ją pocieszył, skoro to właśnie on ją zranił?

Na to pytanie nie miała otrzymać odpowiedzi.

Kiedy poszła go odszukać, okazało się, że Dominik zniknął naprawdę.

Spakował swoje rzeczy. Wszystkie. Nic nie wskazywało, że w ogóle tutaj był. Musiał się wynieść, gdy siedziała w bibliotece i próbowała nie rozsypać się na drobne kawałki.

Wiedziała, że nie zamierzał wrócić.

Zakochała się w nim, aż do zatracenia. A on tylko przez cały czas prowadził grę.

Z tym również będzie się musiała nauczyć żyć.

Lauren wróciła do życia.

Do swego prawdziwego życia, w którym nie było miejsca na tajemniczych mężczyzn ukrywających fortunę i żyjących w węgierskich lasach. Do życia, które zbudowała dla siebie sama, bez niczyjej pomocy.

Do życia, które podobno kiedyś kochała, a przynajmniej w którym odnajdowała się jeszcze kilka miesięcy temu.

– Nadal je kochasz – warknęła do siebie pewnego poranka, miotając się po mieszkaniu przed wyjściem do pracy. – Kochasz każdą jego część.

– Wiesz, kiedy zaczynasz mówić do siebie – stwierdziła pogodnie Mary, wlewając resztę mleka do herbaty – to znak, że stres z tobą wygrał.

Lauren spojrzała na sublokatorkę.

– Czy to twoja komórka dzwoni?

Kiedy Mary wybiegła z pokoju, Lauren powiedziała sobie, że wszystko z nią w porządku. Jest dobrze.

Właściwie jest szczęśliwa i pełna nadziei, ponieważ to wszystko nie ma nic wspólnego z opryskliwym, gniewnym mężczyzną, który zrobił dokładnie to, o co go prosiła, a potem zniknął po nieco dłuższym czasie, niż się spodziewała.

Miała to, czego chciała. Wiedziała, co inni ludzie czuli. Rozumiała, dlaczego byli gotowi posunąć się tak daleko, żeby uprawiać seks. Była teraz wolna, mogła pójść za swym popędem. Mogła zrobić to, co sugerował kiedyś Dominik, wybrać się do lokalnego pubu i kontynuować ten wspaniały eksperyment rozbudzenia seksualnego. Na własną rękę.

Nie potrzebował jej. Ona zaś z pewnością nie potrzebowała jego.

Lauren postanowiła zaangażować się w to jeszcze tego wieczora.

Rozmyślała o tym przez cały dzień. Wydawała aprobowane, wspierające pomruki podczas wideokonferencji z Matteem, łączącego się z nią z tej części świata, w której akurat przebywał, ale myślami błądziła wokół czekającej ją rozpusty. Ponieważ Dominik był jedynie środkiem do celu, niczym więcej. Progiem do wspaniałej uczty zmysłowej.

Wyszła z pracy wcześniej – czyli przynajmniej raz o czasie – i weszła do pierwszego pubu, jaki zobaczyła.

Pozostała w nim pięć minut, bo tyle zajęło jej rozejrzenie się wokół. Przyjrzała się tym wszystkim mężczyznom, którzy nie byli Dominikiem, i zachciało jej się płakać.

Ponieważ okazało się, że jedynym rozbudzeniem zmysłów, jakiego pragnęła, było kochanie się właśnie z nim.

Tylko i na zawsze z nim, powiedział jakiś głos w jej głowie z taką stanowczością, że poczuła ścisk w sercu.

I może właśnie dlatego w jakieś sześć tygodni po tym, jak tabloidy odkryły tożsamość Dominika – gdy jej ściśnięte serce stwardniało jak

kość – zareagowała na prostą prośbę ze strony Mattea w tak nietypowy sposób.

– Niedługo ląduję w San Francisco – poinformował ją ze swego odrzutowca.

– A potem jedziesz do domu, jak sądzę – wtrąciła. – Żeby zadbać o swoje imperium.

– Tak, tak – odparł takim tonem, który, jak wiedziała, oznaczał: albo i nie. – Ale oczekuję, że zajmiesz się tym małżeństwem.

Lauren miała go na monitorze komputera na biurku, żeby móc pracować równocześnie na laptopie, kiedy on, jak zwykle, wyrzucał z siebie instrukcje jak z katapulty.

Ale w tym momencie przerwała pracę i odwróciła się na krześle, żeby spojrzeć prosto na niego.

– Jakim małżeństwem? – zapytała. Cierpkim tonem, musiała to przyznać. – Twojej siostry? Musisz wiedzieć, że ona i jej książkę grają ze sobą w kotka i myszkę...

Matteo przerzucał papiery ze zmarszczonym czołem. Lauren wiedziała, że życie miłosne siostry to jego czuły punkt. Czy dlatego właśnie go poruszyła? Wiedziała przecież, że nie to małżeństwo miał na myśli.

– Chodziło mi o twoje małżeństwo, Lauren – powiedział z tym swoim roztargnieniem.

Wiedziała, że szef miał na głowie inne, ważniejsze sprawy. Jako jego asystentka zawsze to akceptowała, ponieważ taka była jej rola – kryć się w cieniu i dokładać wszelkich starań, żeby szef mógł się skoncentrować, na czym tylko zechciał. Ale teraz mówił o niej. O małżeństwie, które on zasugerował, a w które ona posłusznie weszła na jego polecenie. – W przyszłym tygodniu jest gala w Rzymie. Jak sądzisz, czy twój mąż został wystarczająco wytresowany? Może się pokazać na forum publicznym?

– On nie jest tresowanym niedźwiedziem – warknęła z większą złością, niż to było konieczne. – I doskonale sobie radził z wystąpieniami na forum publicznym, zanim raczył przyjechać do Combe Manor. Więc myślę, że nie ma powodu do niepokoju, że zerwie łańcuchy i rzuci się na gości.

– Możesz być narażona na nieuniknione pytania paparazzich – mruknął Matteo, zerkając chmurnie na trzymaną w rękę komórkę. Często tak robił, więc Lauren nie miała powodu czuć się teraz urażona, a jednak bardzo ją to ubodło. „Może już czas, żebyś zadała sobie pytanie, czego byś nie zrobiła, gdyby twój pan Combe o to poprosił – powiedział kiedyś Dominik. – Odpowiedź mogłaby się okazać pouczająca”. A czego Matteo nie zrobiłby dla niej? Na przykład czy zauważyłby, że była żywą istotą, a nie rodzajem maszyny? – Znasz zasady.

– Rzeczywiście. Znam wszystkie zasady.

Sama je ustanowiła, skoro już o tym mowa. Nie była pewna, dlaczego chciała przypomnieć o tym Matteowi.

– Postaraj się tylko, żeby to dobrze wyglądało. – Matteo wreszcie na nią popatrzył. – Wiesz, co mam na myśli. Oczekuję spokojnej, cichej obecności, która będzie świadczyła, że cały ten skandal z San Giacomo został całkowicie opanowany. Chcę, żeby rada dyrektorów była zadowolona.

– A to, czy twój brat jest zadowolony z rewelacji na temat rodziny, której nie znał, to sprawa drugorzędna?

Efekt był taki, jakby uderzyła szefa w twarz.

Matteo zamrugał i Lauren odniosła wrażenie, że skoncentrowanie uwagi na niej zajęło mu tysiące lat.

– Czy mój brat jest nieszczęśliwy? – zapytał. W końcu.

– Sam będziesz musiał go o to zapytać – odparła. I dodała, nie mogąc się powstrzymać: – To twój brat, nie mój.

– Jesteś jego żoną, Lauren.

– Uważasz, że obowiązkiem żony jest donoszenie na męża swojemu szefowi? Zaczynam rozumieć, dlaczego nie jesteś żonaty.

Jakiś cień przemknął po twarzy Mattea i Lauren nie mogła zrozumieć, dlaczego jeszcze go nie przeprosza. Dlaczego nie stara się jak najszybciej uratować sytuacji.

– Znałaś swoją rolę, kiedy ją przyjmowałaś. – Matteo zmarszczył czoło. – Wybacz, ale czyżby mi coś umknęło?

W tym momencie coś w niej pękło.

– Jestem pańską osobistą asystentką, panie Combe – odpaliła. – To może obejmować i obejmowało takie sprawy jak wybór garderoby. Organizowanie pańskich podróży. Zaangażowanie w pańskie życie osobiste w stopniu większym, niż bym chciała. Ale do moich obowiązków nie należało nigdy wychodzenie za mąż w pana interesie.

– Jeśli miałaś jakieś obiekcje, powinnaś je była zgłosić, zanim za niego wyszłaś. Teraz trochę na to za późno, nie sądzisz?

– A kiedyż to miałam prawo zgłaszać w pracy jakiegokolwiek obiekcje? – Potrząsnęła głową, bo przed oczami stanęła jej zimna twarz Dominika. I jego słowa: twój pan i władca. – Czy kiedykolwiek powiedziałam ci nie?

Mars na czole Mattea pogłębił się, ale to nie był wyraz jakiegokolwiek reakcji emocjonalnej. Zdawała sobie z tego sprawę. Był po prostu skonsternowany.

– Cenię cię, Lauren, jeśli o to ci chodzi. Przecież wiesz.

Ale Lauren nie była już tą samą osobą, co dawniej. Nie liczyło się dla niej uznanie Mattea dla jej pracy. Już nie.

Oglądając się wstecz, widziała, jak do tego doszło. Ona, której nikt nigdy nie chciał, postanowiła za wszelką cenę być potrzebna. Dawała z siebie wszystko. Matteo przyjął ją zaraz po studiach, a ona uznała, że nie

tylko spełnianie wszystkich jego oczekiwań, ale wręcz uprzedzanie ich będzie dla niej celem życia.

Myślała, że stanowili zespół. I tak było, przez te wszystkie lata. Kiedy musiał pracować pod nadzorem ojca i teraz, kiedy to on rządził.

Ale Dominik nauczył ją czegoś całkiem innego od tego, jak stać się niezbędną dla osoby, która jej płaci.

Nauczył ją, jak się cenić.

Nauczył ją pragnąć. I być upragnioną.

Nauczył ją, jak w zamian pragnąć więcej.

Ponieważ miała problem z pozwoleniem sobie na pragnienie czegokolwiek, bo od dawna obywała się bez tego. Nie satysfakcjonowały jej połowiczne sukcesy ani dawanie przez całe życie wszystkiego z siebie mężczyźnie, który nie tylko nie był w stanie tego odwzajemnić, ale od którego ona niczego nie chciała.

Nie chciała się poświęcać. Okazało się, że pomimo wyboru takiego zawodu nie była męczennicą. Nie chciała nią być.

Już nie.

Wiedziała, czego pragnie. Ponieważ teraz już wiedziała, jak to jest być pożądaną. Dominik mógł się tego wypierać. Ona i tak wiedziała.

Tak długo został w Combe Manor. Pokazywał jej rzeczy, o których dotąd nie śmiała nawet marzyć. I brał ją, raz za razem, posiadał ją jak mężczyzna.

Jak mężczyzna, który obawiał się ją stracić tak samo, jak ona bała się stracić jego.

Gdyby mu na niej nie zależało, nie wymknąłby się. O tym również wiedziała.

Lauren rozejrzała się po biurze, które bardziej było jej domem niż mieszkanie. Tapczan, na którym przespalała tyle nocy – w tym także noc poprzedzającą jej ślub. Okna wychodzące na miasto, które tak desperacko kochała nie ze względu na betonowe budynki, co teraz zrozumiała, ale dlatego, że było dla niej stałym punktem odniesienia. Rodzicem, który nie odwróci się do niej plecami.

Ale już tego nie potrzebowała.

Lauren miała już wszystko, co było jej potrzebne. Może miała to zawsze, ale teraz zdała sobie z tego sprawę. Teraz przyszedł czas, by skoncentrowała się na tym, czego chciała.

– Ja również ceniłam sobie te lata, panie Combe – powiedziała, podniosła głowę i spojrzała Matteowi w oczy. – Bardziej, niż zdawałeś sobie z tego sprawę. Ale pora, żebym poszła dalej. – Uśmiechnęła się, kiedy zaczął protestować. – Uznaj to za moje wymówienie. Wyszkołę swoją następczynię. Sama ją znajdę i dopilnuję, by spełniała twoje wymagania. Bez obaw.

– Lauren. – Jego głos był pełen dobroci.

Ale ona nie chciała jego dobroci.

– Przykro mi – powiedziała cicho. – Ale nie mogę już dłużej tego robić.

Tej nocy leżała w łóżku w mieszkaniu, za które płaciła, ale którego nie znała. Patrzyła w sufit, a kiedy jej się znudziło, przeniosła spojrzenie na okno.

Wszędzie beton. Londyńskie dachy, druty telefoniczne i szum ruchu ulicznego. Dom, który sobie stworzyła. Rodzic, którego potrzebowała. Londyn był dla niej wszystkim, ale to w końcu tylko miasto. Ulubione miasto, to prawda. Ale jeśli było dla niej czymś więcej, to tylko dlatego, że ona je nim uczyniła.

A już tego nie chciała. Nie potrzebowała tego. Pragnęła... czegoś więcej. Czegoś innego.

Czegoś dzikiego, podszeptał jej jakiś głos.

Lauren myślała o pragnieniu. O potrzebie. O zasadniczej różnicy między nimi i zastanawiała się, dlaczego zrozumienie tego zajęło jej tak dużo czasu.

Następnego ranka wybrała się znowu na Węgry.

Dotarła do górskiej wioski na skraju lasu późnym popołudniem.

Ale to jej nie powstrzymało. Zostawiła wypożyczony samochód pod gospodą, w której spędziła ostatnią noc, zanim spotkała Dominika, zanim wszystko uległo zmianie, i ruszyła pieszo.

Nie przeszkadzał jej zapadający w lesie zmierzch. Temperatura spadła, ale miała swój czerwony płaszcz, którym owinęła się mocniej i szła dalej.

Ścieżka była taka, jaką zapamiętała, czysta i łatwa do wędrowania, choć może nie w butach na wysokich, cienkich obcasach, które miała na nogach. Bo, oczywiście, je włożyła.

Lauren mogła się czuć jak nowa kobieta. Ale to nie oznaczało, że była gotowa zdradzić siebie i włożyć praktyczne obuwie.

Szła naprzód.

I myślała o bajkach. O dziewczynkach, które zawędrowały w gęsty las i myślały, że zabłądziły, ale pomimo rozlicznych przeciwności odnajdywały drogę i nic nie mogło ich powstrzymać. Szczególnie jeśli tym, co próbowało je powstrzymać, były one same.

Powtarzała sobie, że to tylko głęboki, ciemny las. I szła dalej. Wszędzie wokół były piękne drzewa, świeże powietrze i ścieżka, którą można wędrować.

Żadnych okruchów chleba. Żadnych ostrych zębów i wilków. Żadnych czarownic udających przyjaciółki, żadnych zaczarowanych chat ze

straszliwymi różami i podejrzanymi ciastami.

Żadnych zakazów, żadnych występnych zaklęć.

Była tu tylko Lauren.

Która doskonale wiedziała, czego chce.

Kiedy tym razem weszła na polanę, pomaszerowała prosto przez nią. Nikt nie czał się w cieniu na ganku, ale przecież nie spodziewała się, że tam będzie. Niemniej jednak podeszła, weszła po schodach i otworzyła drzwi frontowe.

Chata wyglądała tak, jak zapamiętała. Zaskakująco przytulnie i zapraszająco, i wyjątkowo miło. To stanowiło wskazówkę, gdyby zwróciła uwagę na to, że mężczyzna, którego przyjechała odnaleźć – jej mąż – nie był człowiekiem gór, którego się spodziewała.

A najlepsze, że ten mężczyzna siedział teraz przy ogniu i patrzył na nią oczami w kolorze deszczu.

– Zawróć, Lauren – powiedział głosem szorstkim jak żwir. – Jeśli teraz wyjdiesz, dotrzesz do wsi, zanim zapadnie ciemność. Nie wędrowałbym po lesie w nocy. Nie w takich butach. Nie masz pojęcia, co mogłabyś napotkać.

– Dokładnie wiem, co znajdę w tych lasach – odparła. Błądziła wzrokiem po tych zbyt długich, czarnych jak atrament włosach, których nie chciał ściąć do stosownej, jej zdaniem, długości, po tych surowych ustach, których dotyk czuła na każdym calu swojej skóry. – Jesteś tutaj.

Potrząsnął głową.

– Nie powinnaś tu przychodzić.

– A jednak przyszłam. Nie pytając cię o zgodę. Tak jak ty uciekłeś z Combe Manor, nie zostawiwszy nawet skreślonej w pośpiechu notatki.

– Z pewnością misja, którą wypełniasz obecnie, jest równie ważna jak poprzednia. – Po jego twarzy przemknął gniew. – Ale nie obchodzi mnie, co

twój pan Combe...

– On mnie nie przysłał. Zresztą już dla niego nie pracuję. – Wytrzymała jego spojrzenie, pozwoliła, by omiotła ją kryjąca się w jego oczach burza. – To sprawa między tobą i mną, Dominiku.

Powietrze między nimi znieruchomiało. Jakby się ścisnęło.

– Nie ma „nas”.

– Może poślubiłeś mnie dla żartu – powiedziała miękko. – Ale jednak mnie poślubiłeś. Czyli jestem twoją żoną.

– Nie potrzebuję żony ani brata. Ja nie mam rodziny, Lauren. I nie robię żartów.

– Szkoda. – Skrzyżowała ramiona na piersi i patrzyła na niego bez śladu onieśmienia. – Ale ja nie pytałam, czy potrzebujesz żony. Przypominam ci, że jedną już masz.

– Tracisz czas.

Uśmiechnęła się do niego i z zadowoleniem spostrzegła, że zamrugał, jakby jej uśmiech był bronią, która przez cały ten czas spoczywała w jej arsenale.

Boże, miała nadzieję, że to skuteczna broń. Ponieważ potrzebowała każdej, jaką tylko mogła dysponować.

I nie miała oporów przeciwko wykorzystaniu wszystkiego, co wpadnie jej w ręce.

– Sprawa wygląda tak, Dominiku. – Pragnęła go dotknąć. Pragnęła wtulić twarz w jego szyję. Chciała budzić się opleciona jego nogami i ramionami. Pragnęła go, jak tylko mogła go mieć. Chciała żyć z nim, jakkolwiek to życie mogłoby wyglądać. – Nauczyłeś mnie pragnąć. I nie widzisz? Tym, czego pragnę, jesteś ty.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

– Nie możesz mnie mieć – warknął Dominik. Podjął decyzję. Tylko taka miała sens. – Nigdy nie byłem zabawką, którą możesz rzucić w kąt, kiedy tylko zechcesz. Wydawało mi się, że w końcu to wyjaśniłem.

A jednak pragnął teraz tylko położyć na niej ręce.

Wiedział, że nie może sobie na to pozwolić. Nawet jeśli miał chwilowo problemy z przypomnieniem sobie dlaczego, teraz, kiedy tutaj była. Właśnie tutaj, przed nim, gdzie wyobrażał ją sobie tysiące razy, co noc, odkąd opuścił Anglię.

Ale nie zrobił tego. Bo gdyby jej dotknął – gdyby zatracił się w jej różowo-złotej słodyczy – to zrobiłby to, od czego zaczęło się całe zło.

– Wprowadziłem cię w seks, to wszystko – wycodził przez zaciśnięte zęby. Nie chciał myśleć o tym, jak uległa mu całkowicie, niewinna i spragniona. Tak rozpalona, że nadal czuł ten żar. – Nadajesz temu większe znaczenie, niż ma w istocie.

– Sprawdziłam tę teorię – poinformowała go, co on odebrał jak cios w brzuch. – Powiedziałaś mi, że mogę wejść do dowolnego pubu w Anglii i mieć tyle seksu, ile tylko zapragnę.

– Lauren. – Był zdumiony, że nie stracił kilku zębów, tak mocno zaciskał szczękę. – Radziłbym ci nie opowiadać mi o swoich seksualnych wyczynach.

– Dlaczego? Przecież mnie nie chcesz. – Uśmiechnęła się znowu, opanowana i aż nazbyt spokojna. – Ale nie musisz mi dawać ostrzeżeń ani

grozić. Nie chcę wyczynów seksualnych, Dominiku. Chcę ciebie.

– Nie – warknął, choć ból w jego piersi się nasilał. – Nie chcesz.

– Zapewniam cię, że znam siebie.

– Możliwe, ale nie znasz mnie.

Nie czekał, aż Lauren weźmie na tapetę ten temat. Zerwał się na równe nogi i przyskoczył do niej, ponieważ musiała zrozumieć. Musiała zrozumieć, że powinna odejść, a on miał przez resztę swojego życia starać się skleić ponownie rozsypane kawałki.

Po tym jak ona rozszarpała go na strzępy, podeptała i zostawiła z tym bałaganem.

Bo jej na to pozwoliłeś, odezwał się w nim ten głos, który próbował zignorować, odkąd ją zostawił.

– Początkowo myślałam, że to uwaga mediów tak na ciebie podziałała, ale ty najwyraźniej się nią nie przejąłeś. Miałeś z pismakami do czynienia już wcześniej. Dlaczego tym razem miałoby być inaczej?

Nie przypomniała mu o jego kłamstwach i przemilczeniach. One rosły między nimi jak żar i dym.

– Nie obchodzi mnie powszechna uwaga. – Pragnął tego, czego nie mógł mieć. Pragnął zrobić coś, ale kiedy wyciągnął rękę przed siebie, objął nią tylko jej miękki, ciepły policzek.

Tylko żeby sobie przypomnieć.

Szybko opuścił rękę, ale nic przez to nie osiągnął, ponieważ ten dotyk był jeszcze przyjemniejszy, niż pamiętał.

– Dominiku. Wiem, co czujesz...

– Nie wiesz. – Jego głos brzmiał ostro, ale dłoń paliła żywym ogniem. – Nie ulega wątpliwości, że to twoi rodzice mają problem, nie ty. Musisz zdawać sobie z tego sprawę.

– Są ograniczonymi ludźmi – powiedziała, zaskoczona. Ale szybko wzięła się w garść. – Nie przeczę, że to nadal dla mnie bolesne, ale nie jestem już małą dziewczynką. I szczerze mówiąc, wydaje mi się, że to oni stracili okazję i żyją w tęsknocie.

– To brzmi bardzo dojrzałe. Moje uznanie. Ale ja nie jestem tobą. To właśnie próbuję ci powiedzieć. – A potem powiedział to, o czym zawsze wiedział, a czego nigdy dotąd nie wymówił na głos. – To ze mną jest coś nie w porządku, Lauren.

Jej oczy zabłyśły. Zaciśnęła opuszczone wzdłuż boków ręce w pięści.

– Och, Dominiku. – Zapamięta sposób, w jaki wymówiła jego imię. Długo po jej odejściu będzie przywoływał to raz za razem, żeby się rozgrzać, kiedy przyjdzie chłodniejsza pogoda. – Nie ma w tobie nic złego. Zupełnie nic.

– To nie opinia. To fakt. – Potrząsnął głową, gwałtownie, kiedy chciała go dotknąć. – Miałem sześć dni, kiedy trafiłem do sierocińca. Noworodki nigdy nie przebywają zbyt długo w domu dziecka, bo zawsze znajdzie się ktoś, kto chce je adoptować. Taką czystą kartę. Nowy początek. Jeśli zechcą, mogą udawać, że to ich rodzone dziecko. Ale mnie nikt nie chciał. Nigdy.

Lauren nadal potrząsała głową, tak energicznie, że włosy związane w ten przeklęty koński ogon o mało go nie uderzyły.

– Może zakonnice chciały cię zatrzymać, Dominiku. Nigdy o tym nie pomyślałeś? Może nie mogły znieść myśli o oddaniu cię.

Roześmiał się, ale był to pusty dźwięk i to nie tylko dlatego, że jej słowa obudziły dawne wspomnienia, do których nie wracał od lat. Uśmiechnięta twarz zakonnicy, którą nazywano siostrą Marią Aną. Okazywała mu wiele serdeczności, kiedy był mały, ale rak zabrał ją, kiedy Dominik miał pięć lat. Jak mógł o tym zapomnieć?

Ale nie chciał teraz o tym myśleć. To, że ktoś był dla niego dobry, nie zmieniało zasadniczego kursu jego życia.

– Nikt mnie nie chciał. Nigdy. Jeśli w grę wchodzi jedna czy dwie osoby, nawet jeśli to twoi rodzice, to może być zbieg okoliczności. Przypadek. Ale kiedy ja mówię, że nie ma ani jednej osoby na świecie, która naprawdę mnie chciała, to nie przesadzam. – Odsunął od siebie te dziwne, dawne wspomnienia. – Jest we mnie coś złego, Lauren. I to coś nie wyparowało. Jeśli teraz tego nie widzisz, to zobaczysz w przyszłości. Nie widzę powodu, by wikłać w to nas oboje.

Ponieważ wiedział, że gdyby pozwolił jej zostać, to już nigdy, przenigdy nie pozwoliłby jej odejść.

– Dominiku – zaczęła.

– Pokazałaś mi segregatory pełne San Giacomów – warknął. – Całe stulecia ludzi z obsesją na tle samych siebie i swego rodowodu. Odnotowywali każdego San Giacomą, który przychodził na świat. Ale mnie odrzucili. Ona mnie odrzuciła.

– Miała szesnaście lat – rzuciła Lauren zdecydowanie, otulając się czerwoną peleryną, z policzkami mokrymi od emocji, których on nie chciał zauważyć. – Była przerażoną dziewczyną, która wedle zapisów zrobiła to, co nakazał jej apodyktyczny ojciec. Nie usprawiedliwiam jej za to, że później nie zrobiła nic. Ale wiesz, że nigdy o tobie nie zapomniała. Znała twoje nazwisko i być może wiedziała nawet, gdzie mieszkasz. Nie mogę mówić za zmarłą, Dominiku, ale moim zdaniem to dowodzi, że cię kochała.

– Nie można kochać czegoś, co się wyrzuciło na śmietnik, jak odpadki – rzucił.

Wyraz jej twarzy się zmienił. Jakby... została zgnieciona. O mało nie pękło mu serce.

– Tak jak ty rzuciłeś mnie? – zapytała.

– Zostawiłem cię, zanim stało się całkowicie jasne dla ciebie i reszty świata, że nie pasuję do takiego miejsca. Jestem podrzutkiem. Byłem dzieckiem ulicy. Wstąpiłem do wojska, ponieważ chciałem zginąć, Lauren. Nigdy nie chciałem, by armia mnie uratowała.

– To wszystko ukształtowało cię takim, jakim jesteś – stwierdziła ze stanowczością, która podziałała na niego tak, jakby potrząsnęła nim za ramię. – Ale teraz jesteś San Giacomo. Sam doszedłeś do wszystkiego i masz w ręku niemałą władzę. I jesteś moim mężem.

Nie rozumiał, dlaczego przysunął się bliżej, skoro chciał się od niej oddalić. Skoro chciał – powinien – zwiększyć dzielący ich dystans.

Jego ręce same znalazły jej ramiona.

Zauważył, jak doskonale do niego pasowała, zarówno w tych absurdalnych butach, jak i na bosaka. Jej karmelowe oczy zdawały się czytać w jego spojrzeniu.

– Nie mam zielonego pojęcia, jak być mężem.

– Podczas gdy ja mam takie ogromne doświadczenie w byciu żoną? – odpaliła.

– Ja nie...

– Dominiku. – Przyłgnęła do jego piersi i uniosła głowę. – Albo mnie kochasz, albo nie.

Wiedział, co powinien powiedzieć. Gdyby mógł wypluć te słowa, które złamałyby ich serca, uwolniłby ją.

Mógłby wrócić do swego spokojnego życia, tu, w lesie, gdzie nikt nie mógł go zawieść i gdzie on nie mógł udowodnić, po raz kolejny, jak niewiele pragnął.

Dominik doskonale wiedział, co powinien powiedzieć.

Ale nie powiedział tego.

Ponieważ ona była taka ciepła, a on nie zdawał sobie sprawy, jak mu zimno, dopóki go tutaj nie odnalazła. Była jak światło i promyk słońca, nawet tutaj, w najciemniejszej gęstwinie.

Nie pojechał z nią do Anglii dlatego, że była wysłanniczką z jego przeszłości. I z pewnością nie ożenił się z nią dlatego, że mogła opowiedzieć mu o tym, czego mógł się dowiedzieć sam o historii swej rodziny.

Ostatni raz, kiedy Dominik zrobił coś, czego nie chciał, tylko dlatego, że mu kazano, miał miejsce w wojsku.

Mógł okłamywać się do woli – i Bóg mu świadkiem, że szło mu to coraz lepiej – ale ożenił się z tą kobietą wyłącznie z jednego powodu.

Bo tego chciał.

– A jeśli tak? – zapytał, zaciskając palce na jej ramionach, choć nie potrafił powiedzieć, czy chciał przyciągnąć ją do siebie, czy odsunąć o bodaj kilka jakże istotnych cali. – Co którekolwiek z nas wie o miłości?

– Nie musisz nic wiedzieć o miłości. – Stała tuż przed nim, zarzuciła mu ręce na szyję, jakby tu właśnie było jej miejsce. A pasowała do niego jak element układanki. – Pomyśl o bajkach. Szczęśliwe zakończenie „i żyli długo i szczęśliwie” jest gwarantowane przez jedno i tylko jedno.

– Magię? – podrzucił. Ale jego ręce się uniosły. Ściągnął gumkę z jej lśniących blond włosów i odrzucił ją na bok. – Straszliwe zaklęcia, złe czarownice i potwory pod łóżkiem?

– Przez wszystkie twoje ogromne zmartwienia – mruknęła, ale znowu się uśmiechała. A on zorientował się nagle, że również się uśmiecha.

– Tym lepiej. Uratuję cię, Czerwony Kapturku – powiedział. – Jeśli mi na to pozwolisz.

– Nie pozwolę. – Musnęła wargami jego usta. – Może uratujemy siebie nawzajem?

– Nie wiem jak.

– Ja wiem. – Kiedy spojrzał na nią chmurnie, przyciągnęła go jeszcze bliżej, dopóki ból w jego piersi nie zmienił się w coś słodsze. Gorętszego. Zupełnie jakby to było na zawsze. – Szczęśliwe zakończenia, Dominiku, to ratowanie siebie nawzajem. A wystarczy do tego pocałunek.

I o tym właśnie mówiła w tym rozległym domostwie w Yorkshire.

O nadziei. O możliwym szczęściu.

O tym, w co nigdy dotąd nie wierzył.

Ale z nią wszystko było inne.

Wziął ją więc w ramiona, przechylił do tyłu i obdarzył najwspanialszym pocałunkiem, jaki mógł jej ofiarować, właśnie tu, w tej zaczarowanej chatce w głębi ciemnego lasu.

I z całą pewnością żyli potem długo i szczęśliwie.

Jak w bajce.

Spis treści:

OKŁADKA

KARTA TYTUŁOWA

KARTA REDAKCYJNA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY